Nr. 51 Poznań, dnia 20-go grudnia 1903. Rok VII

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 51-go.

Dział polityczny: Pamiętajmy! — Zasadnicze stanowisko Koła polskiego wobec etatu. — Z niwy politycznej. — Dwa Sejmy polskie w Ameryce. — Z tygodnia. — Przegląd prasy. — Głosy od Przyjaciół: *(Ze Swarzędza, Z Wągrówca, Z pod Witkowa, Z Karlina, Z Londynu.)*

Felieton: W parku. — Z teatru. — Z literatury sztuki.

Dział illustrowany: Z ojczystych stron: Iwanowice. — Pomnik Dygasińskiego. — Listy z nad jezior mazurskich. VII. — Noc grudniowa. *(Wiersz).* — Nasze illustracye. — Sztuczna hodowla kwiatów za pomocą eteryzacyi. — Blokada kwiatowa. — Wspomnienia z niewoli moskiewskiej r. 1863-go. *(Ciąg dalszy.)*— Na tej miedzy nad potokiem. *(Wiersz).* — Pod płaszczem Madonny. *(Nokturn grudniowy.)* — Sewera. *(Nowelka.)* *(Ciąg dalszy i dokończenie.)* — Zaproszenie do przedpłaty. — Odezwa. — Wiad. potoczne.— Nekrologia. — Wiadomości literackie. — Rozmaitości. — Od Redakcyi. — Dział kobiecy. — Dział rolniczo-ekonomiczny. — Dodatek humorystyczny. — Dział powieściowy. *(Śpiewaczka ludowa. Arkusz 26-ty. Ciąg dalszy.)*

Illustracye: Albumowa: Powrót z wojny po r. 1813.— Widok kościoła parafialnego w Iwanowicach. — Wnętrze kościoła w Iwanowicach. — Cztery ryciny do artykułu p. t. „Pomnik Dygasińskiego.“ — Struga Krutyńska. — Cerkiew starowierów pod Ukrą. — Trzy ryciny do artykułu p. t. „Sztuczna hodowla kwiatów za pomocą eteryzacyi.“ — Hyacenty wodne, tamujące żeglugę na wodach Meksykańskich. — Rycina do powieści „Śpiewaczka ludowa.“

Czas odnowić przedpłatę!

Zaproszenie do przedpłaty i kwity mieszczą się na dodatkowym arkuszu.

Pamiętajmy!

Czyż mamy znowu jak po inne lata przypominać Czytelnikom w tym czasie gwiazdkowych zakupów znakomite hasło naszych pobratymców: swój k'swemu? Czyż mamy wskazywać na naszą młodzież, która odcięta od karyery urzędniczej i tylu zawodów, garnie się do handlu i przemysłu, a dzisiaj więcej aniżeli w ciągu roku oczekuje poparcia ze strony ogółu? Czyż mamy wreszcie mówić Czytelnikom o tem, jak „wzmacniana“ niemczyzna coraz natarczywiej głosi hasło bojkotu, by oglodzić nas, wyzuć ze wszystkiego, sproletaryzować, zamienić w helotów, niewolników i — zgnębić?

Otóż, jak czytamy pomiędzy ogłoszeniami w poznańskich gazetach polakożerczych, wszechniemiecki związek oraz niemiecki związek stanu średniego wołają do swoich w te słowa: „Niemcy zakupujcie na gwiazdkę tylko u niemieckich rzemieślników i niemieckich kupców.“

Gdy cała niemczyzna czy to ewangielicka, czy katolicka, czy izraelicka sprzysięgła się przeciwko nam i wypowiedziała nam wojnę na śmierć i życie pod hasłem: austrotten, mielibyśmy jeszcze ciężko zapracowany grosz nasz zanosić do ich sklepów. Toż Niemcy sami uczą nas jak postępować, wskazują nam drogę. Na hasło wszechniemieckiego związku jak jeden mąż winniśmy odpowiedzieć hasłem:

Polacy kupujcie tylko u polskich rzemieślników i polskich kupców!

Pamiętajmy, że bezkrwawy, zacięty bój, jaki staczamy z odwiecznym, największym wrogiem naszym na tej zagrożonej placówce, rozgrywa się nietylko na polu narodowościowem, lecz także ekonomicznem. A w czasach gdy pieniądz jest potęgą, gdy stan materyalny narodu wywiera ogromny wpływ na jego stanowisko w koncercie narodów, na jego losy i przyszłość, — każde społeczeństwo, które chce żyć i rozwijać się, musi baczyć na podwaliny swe, umacniać je, wzbogacać, by na nich swobodny zapewnić sobie byt.

Pamiętajmy, że nie popierając swego handlu wystawiamy się na urągowisko naszych wrogów, wzmacniamy ich materyalnie i wyposażamy w nowe środki do zwalczania polskości. Trzeba być wyzutym z godności nietylko narodowej, ale osobistej, by przestępować próg składu niemieckiego, gdzie na Polaka patrzą niby na przybłędę i wzbraniają się posługiwać językiem polskim.

Pamiętajmy, że nie popierając swoich — wydalamy ich z kraju na obczyznę, otwieramy przystęp Niemcom. Jeżeli na swej ziemi kupiec nie znajdzie kawałka chleba, cóż pozostaje mu do czynienia? Liczne źródła zarobkowania przystępne dla Niemców, zamknięto przed nim szczelnie, więc idzie w świat z zakrwawionem sercem i niejeden przepada dla kraju na zawsze. Tu gdzie każdy obywatel owiany duchem patryotycznym jest cennym wobec przemożnej falangi niemieckiej, nie wolno nam odstręczać nikogo, nie wolno w myśl hakaty wypędzać go z polskiej ziemi, na której trzeba nam żyć, walczyć i umierać.

Pamiętajmy, że nie popierając handlu ojczystego wyrządzamy sami sobie ujmę. Adwokat, lekarz i t. p. mogą liczyć na zyski dobre w społeczeństwie zamożnem. Jeźli zaś sami nie przykładają ręki do pomnożenia materyalnych dóbr społeczeństwa, do wytworzenia pewnej siły materyalnej, na odwrót społeczeństwo, o tyle a tyle uboższe, mniejsze im zanosić będzie zyski. Ręka rękę myje.

Pamiętajmy, że jesteśmy ujęci w potężny pierścień niemczyzny i przez to z natury rzeczy wskazani *tylko na siebie*, na własne siły. Dlatego jeden duch powinien nas ożywiać, idea równości bratać, by i siły piekielne nie rozerwały łańcucha jedności. To wspa-

miałe poczucie solidarności dokazuje cudów i ono z Czechów zrobiło obóz zwarty i zwycięski na każdem polu życia narodowego. U nas dopiero pod obuchem pruskiego systemu budzi się to poczucie i przenika masy a chociaż jeszcze nie weszło w krew ogółu, już widzimy namacalne jej owoce. W solidarności leży siła nasza i — przyszłość.

Niechaj uświadomieni obywatele szerzą te zdrowe zasady wytyczne, — oparte na zdrowym rozsądku, na zrozumieniu własnego interesu i na patryotyzmie — wśród najszerszych warstw ludności. Tu chodzi o byt nasz, o istnienie Polaków pod pruskim zaborem, — o sprawę! Pod grozą konieczności, piętrzącej się przed nami, każdy powinien to pojąć, każdy stosować się do zasady zobowiązującej wszystkich, bez różnicy, bez wyjątku i pamiętać, że zwycięstwo w zapasach czeka nas tylko pod hasłem: swój do swego!

Quis.

Zasadnicze stanowisko
Koła polskiego wobec etatu.

Mowa posła dr. *Skarżyńskiego* (w skróceniu) w parlamencie przy obradach nad etatem dnia 12. bm.

M. p. Wyznaczone są w niektórych miejscach etatu osobne fundusze, przeznaczone na dodatki pensyjne dla urzędników i oficerów „na kresach wschodnich.“ Jest to nowością; ile mi bowiem wiadomo, stało się to poraz pierwszy, że w etacie rzeszy niemieckiej wyznaczono fundusze, które służyć mają na opłacenie pruskich usiłowań, podejmowanych „ku popieraniu niemczyzny na „kresach wschodnich.“ (Bardzo słusznie! u Polaków.)

M. p., zapewniam was, że wstręt i ohyda położenia, w jakie w ten sposób mamy się dostać, wywołałoby wśród ludności polskiej, którą tu reprezentujemy, równie głębokie oburzenie, jak je wywołały wszystkie inne dawniejsze pruskie środki tej kategoryi. Zważcie bowiem, m. p., na to, że przez wszystkie tego rodzaju środki dostajemy się w to położenie, iż sami musimy kręcić sobie stryczek, który ma nam zasznurować gardło.

(Bardzo słusznie! u Polaków).

M. p. Smutne to bardzo, że panowie konserwatyści i narodowo-liberalni oraz rządy związkowe nie czują, że to nie jest ani po chrześciańsku ani po ludzku, że jest wprost niemoralnem, gdy państwo kulturne swoich własnych obywateli w takie wprawia położenie. Byłoby coprawda jeszcze smutniej, gdyby taki wielki naród kulturny jak niemiecki, na to się zgodził.

Aby tę politykę należycie zrozumieć i ocenić, trzeba sobie uprzytomnić, *z jakiego ona wychodzi założenia i do jakich dochodzi wniosków.* Wychodzi ta polityka według potrzeby z dwojakiego założenia. Najprzód z tego, że naród polski tak w całości jak i w tej części, która należy do Prus, jest trupem, na którym można robić wszelkie możliwe eksperymenta „in anima vili“, bez skrupułów i bezpiecznie. Dalej z tego założenia, że samo istnienie narodu polskiego w granicach Prus i Niemiec jest już niebezpieczeństwem dla Niemiec i Prus, i że dlatego ile możności jaknajprędzej zniszczenie tej obcej indywidualności narodowej, jest obowiązkiem samozachowawczego zmysłu narodu niemieckiego.

Na tem dwojakiem założeniu, z których jedno i drugie jest równie fałszywe i z których jedno wprost przeczy drugiemu, opiera się cała antypolska polityka rzeszy i Niemiec i to od lat dziesiątek. Na podstawie więc pierwszego założenia odmawia się nam wręcz charakteru odrębnej narodowej indywidualności. Dla ilustracyi przytoczę tu tylko fakt, że w mowie cesarza do stanów prowincyalnych w Poznaniu przed 2 laty słowa „Polacy“ wcale nie wypowiedziano, tak samo nie było go w mowach ministeryalnych podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Bismarcka w Poznaniu. Wszystkich jednak prześcignął pod tym względem książę Herbert Bismarck, który wogóle już nie umie robić różnicy między Pomorczykami, Brandenburczykami lub Sasami, Meklemburczykami i Polakami. Uznaje się nas już tylko jako Prusaków polskiego języka, i to także już tylko tymczasowo, bo przez zupełne usunięcie języka polskiego z publicznych szkół i przez systematyczne uniemożliwienie uzupełniającej nauki prywatnej chce się rząd postarać, by przejście z dwujęzykowych Prusaków na Prusaków jednego języka jak najprędzej nastąpiło!

I rzecz szczególna. W tej samej chwili, gdy chodzi o to, żeby te drakońskie środki przedsiębrane przeciw nam, przeciw narodowi kulturnemu i przeciw kulturnemu językowi, przed własnem sumieniem usprawiedliwić, wtedy od razu przyznają nam zaprzeczany poprzednio charakter narodowej indywidualności. Między temi obiema premisami zachodzi przecież jaskrawa sprzeczność; jeżeli bowiem my Polacy w obrębie Niemiec i Prus nie jesteśmy już żywą narodową indywidualnością, tylko po prostu nieżywym członkiem

W parku.

Wybrałem się w niedzielę na wieś do dawnego towarzysza z ławy szkolnej, i po mile spędzonym dniu, gdy mój przyjaciel, jak przystoi na zabiegliwego gospodarza wybrał się z latarnią i innemi rekwizytami gospodarczemi do konia, który wedle wyrażenia stangreta „świgać się zaczon,“ ja podążyłem o zmroku wieczornym do pięknego nad jeziorem położonego parku.

Szedłem brzegiem wody, której gładka szyba chłonęła gasnące blaski wieczoru i głęboka poezya wiejskich uroków i wiejskiej ciszy ogarnęła mi duszę. Było tak, jak mówi poeta:

„Szumiały olchy nad jeziorem,
Księżyc za listków błyszczał siatką,
Łabędzie pruły falę gładką,
W mroku nietoperz kreślił koła,
I psów szczekanie biegło z sioła.“

Tylko łabędzi nie było na wodzie i zamiast „siatki listków“ zwieszał się nad moją głową gąszcz cienkich gałązek grudniowych drzew.

Nagle od strony oddalenj wsi doleciał mnie świeży głos męski, śpiewający skoczną melodyę z „Mamselle Angot.“ Poetyczne marzenia pierzchły od razu i cała mizerya poznańskich stosunków stanęła mi, jak żywa, przed oczami. — Melodya rozlegała się wesoło po fali, a myśl moję zajęły wspomnienia sobotniej „premiery.“

Do repertuaru „podkasanej muzy“ nie można, ściśle biorąc, zaliczać: Córki pani Angot. Coś, jakby odbicie (trochę skarykaturowane) wielkomiejskiego życia ciągnie się tam czerwoną nicią między kupletami starej operetki francuzkiej, mającej nawet pewne zabarwienie historyczne. Tylko kilka tłustych piosnek przypomina, że autor, czy autorowie liczyli na niewybredną publiczność — no, i te kilka piosnek zajadle oklaskiwała publiczność, wypełniająca teatr po brzegi, a artyści powtarzali z nabożeństwem:

„Taki jest nastrój chwili obecnej.“

Co do mnie, nie lubię psuć zabawy, nawet wtedy, gdy nie zupełnie odpowiada memu smakowi, natomiast lubię zastanawiać się nad objawami otaczającego mnie życia, dlatego wśród ogólnej uciechy nie trapiła mnie myśl na temat moralnego kazania, ale męczące pytanie, czy to dyrekcya teatru tak znakomicie odgadła smak naszej publiczności, czy na odwrót publiczność na-

trupa, to w takim razie **żadną miarą** nie możemy być niebezpiecznymi dla wielkiego narodu niemieckiego, w takim razie wszystkie te szumne hasła o „straży nad Wartą i Wisłą", o „gorącej walce przeciw naporowi polskiemu na kresach wschodnich" itp. wogóle nie mają sensu, w takim razie są to poprostu czcze frazesy, w takim razie wszystkie te środki ku popieraniu niemczyzny na wschodnich kresach, z których najgłówniejszym jest ów półmiliardowy fundusz na komisyę kolonizacyjną i zakupno domen, są po prostu tylko *urządzeniem dla żywienia armii urzędników* i dla ratowania zbankrutowanych właścicieli ziemskich.

(Bardzo słusznie! u Polaków.)

Aby z dwujęzycznych zrobić jednojęzycznych Prusaków, do tego nie potrzeba doprawdy tak wielkich urządzeń i tak ogromnych wydatków.

Jeżeli pomimo to wprawia się w ruch tak wielki aparat, to czyni się to na podstawie drugiego założenia, które przecież jest tak samo fałszywem jak pierwsze.

Gdyż, m. p., wprawdzie — oświadczam to tutaj wyraźnie — jesteśmy my Polacy w obrębie pruskich i niemieckich granic częścią jednego żywego polskiego narodu, który przeżył dokonaną na nim przed 100 laty wiwisekcyą, po prostu dlatego, *że narody są nieśmiertelne, dopóki zachowają zdrowy mózg i zdrowe serce.*

(Bardzo słusznie! u Polaków.)

Ale, m. p., z faktu tego, który się nie da zaprzeczyć, nie wynika wcale jeszcze, żeby ludność 3 milionowa, pragnąca spokoju, głęboko religijna, pracująca nad udoskonaleniem swojem tak pod względem etycznym jak materyalnym, trzeźwo myśląca i tak jak nasza składająca się w większej **części z stanu włościańskiego i średniego, żeby taka ludność stać się musiała niebezpieczeństwem dla państwa** niemieckiego. (Bardzo słusznie! u Polaków.) Doprawdy, trzeba mieć chorobliwie podnieconą woybraźnią albo też wyraźne oznaki bzika antipolskiego, jak p. Sattler (wesołość), aby z faktu, że my Polacy czcimy narodowość naszą jak świętość i pragniemy zachować ją choćby kosztem najcięższych poświęceń, wyprowadzać wniosek, że dążymy tylko wciąż do tego, aby dzielnice polskie oderwać od Prus a tem samem od Niemiec, jak nam to wiecznie wspominają.

To są po prostu majaczenia! W jaki sposób oderwać? Do czego przyłączyć? Ten cały proces ideowy jest czczem urojeniem.

Niebezpieczeństwem dla narodu niemieckiego możemy stać się dopiero wtenczas, jeżeli wy niem nas zrobicie, to jest, jeżeli wy nas zrobicie męczennikami, których świat słowiański przy możliwym kiedyś obrachunku ze światem germańskim pomścićby musiał. To jest jedyna przyczyna i jedyny przypadek, w którym narodowi niemieckiemu mógłby się stać naród polski niebezpiecznym.

Lecz m. p., dosyć tych myślowych rzutów oka w przyszłość! Na dziś obowięzuje jedynie ta zasada: dopóki wypełniamy naszą powinność jako poddani pruscy i obywatele rzeszy niemieckiej, dopóty nie ma nikt prawa uważać nas za wrogów państwa lub zdrajców, i traktować nas jako takich. (Bardzo słusznie! u Polaków!) Natomiast *mamy prawo żądać, aby naszą narodowość uszanowano i żeby nas uznano jako obywateli w pełnych prawach i obchodzono się z nami jako takimi.*

(Bardzo słusznie! u Polaków).

Z NIWY POLITYCZNEJ.

(Q) Dwadzieścia i jeden wniosków złożyło Koło polskie u laski marszałka parlamentu, dotyczących spraw narodowych, religijnych i socyalnych, dając przez to dowód swej gorliwości i zapału do pracy. Między innemi domaga się Koło, nauki religii dla dzieci w języku ojczystym, zniesienia paragrafu o kazalnicy, na mocy którego sądy pociągają do odpowiedzialności księży polskich za każdą uwagę tyczącą się spraw publicznych, oraz zniesienia prawa przeciwko Jezuitom. Dalej stawia Koło postulaty w sprawie pisowni imion słowiańskich w urzędach, języka polskiego przed sądem oraz w towarzystwach, dalej upomina się o wolność przy wyborach i zapobieganie nadużyciom ze strony władz, tudzież o nowy podział okręgów wyborczych. Koło nie zapomina też o sprawie przestępstw prasowych, domagając się by nie wolno było karać wydawców redaktorów i drukarzy skoro według prawa za inkryminowany artykuł odpowiada tylko redaktor odpowiedzialny. Wreszcie Koło sformułowało szereg wniosków odnoszących się do spraw stanu robotniczego, przeważnie doniosłych dla Górnego Ślązka. I tak stawia wniosek o zabezpieczenie robotników w razie bezrobocia, oraz utworzenie towarzystwa ubezpieczenia

---

sza tak con amore dostósowała się do repertuaru dyrekcyi. Bo zaprzeczyć nie można, że mamy obecnie sezon w całem znaczeniu — operetkowy.

Wiem, że pytanie powyższe ma w sobie coś z błędnego koła, i że rozwiązanie, czy rozcięcie gordyjskiego węzła w najlepszym razie przynieść może guza autorowi; dlatego zamiast odpowiedzi stawiam nowe pytanie. Przecież oprócz sztuk, jakie dzisiaj panują prawie niepodzielnie na scenie poznańskiej, są jeszcze inne, nowe, polskie i obce dzieła dramatyczne o prawdziwie literackiej wartości, przedstawiające wszystkie światła i cienie odwiecznej tragikomedyi ludzkiego życia.

A potem — w owem odbiciu rzeczywistości, noszącem tytuł: „sztuka dramatyczna" tyle jest scen wzniosłych, wzruszających, bolesnych, radosnych, tyle tragicznych sytuacyi — dlaczego przeciętny człowiek nie klaszcze i nie bije z radości nogami w podłogę, kiedy na scenie tryumfuje długo spotwarzana niewinność, albo kiedy śmiała i zręczna dłoń rozerwie po mistrzowsku rozpiętą sieć podstępu i obłudy, albo kiedy potężny duch łamie żelazne kraty przesądów i uprzedzeń ludzkich — a ryczy i woła wściekle: bis! bis!! kiedy tłusty dowcip doleci ucha jego z desek scenicznych?

I cicho — i nic... tylko:
...drzewa parku rozszemrane,
I wiatr, co z fali zgarniał pianę,
I wieńcem dymów strojne chaty,
I gwiazd na niebie haft bogaty,
I zamyślona twarz księżyca,
Wszystko szeptało: — tajemnica...

W tem cień jakiś wysunął się z po za czarnego pnia ogromnej olchy i usłyszałem nad uchem skrzeczący głos chochlika: „Poeto! marzycielu! włosy siwieją ci nad skronią, a ty zawsze, jak za dobrych dni młodości gadasz z wiatrem, drzewami i korowody gwiazd szepcą ci słowa tajemnicze. — Nie ma żadnych tajemnic — dyrekcya chce „robić kasę" i dla tego spekuluje na gusta galeryi — a galerya huczy z radości — oto cała tajemnica!"

„Ale," odpowiedziałem, ochłonąwszy z przestrachu „owa rozradowana galerya, zdaje mi się sięgać dalej, niż galerya; boję się, żeby przy dzisiejszym nastroju cały teatr nie zmienił się w galeryę."

„Chi! Chi! Chi!" zaśmiał się wesoło chochlik.

„Zresztą," ciągnąłem niezrażony dalej — niechże sobie dyrekcya „robi kasę," ale niech zostawi przynajmniej jeden dzień w tygodniu dla poważnej

robotników w razie choroby, starości itp. Niemniej pragnie Koło zapobiedz wydalaniu obcokrajowców tylko dla tego, że są obcokrajowcami.

Nie wiele z powyższych postulatów przyjdzie pod obrady parlamentu, gdyż izba poświęca tylko jeden dzień w tygodniu na wnioski wychodzące z ... posłów, jednakże przekładając ... długą listę Koło polskie zamanifestowało swe tendencye i dążności i wyświetliło żądania ludności polskiej.

* * *

(Q) Wnioski powyższe podpisało 14 polskich posłów, Duńczyk Jessen i Alzatczyk Wetterle. Centrum bowiem odmówiło swoich podpisów a z powodu nieobecności posłów Mycielskiego i X. Jażdżewskiego Koło musiało postarać się o dwa podpisy, by osięgnąć przepisaną liczbę 16.

Że Centrum robiło trudności i nie podpisało polskich postulatów, ani nas nie dziwi ani nie smuci. Zachowanie się centrowców przy wyborach na G. Śląsku i głosy „Germanii" przekonują nas aż nadto dobrze, że centrum nie może pogodzić się z nowym stanem rzeczy i zrozumieć, iż Koło polskie przestało być aneksem partyi niemieckich katolików, a Polacy przestali wysługiwać się katolickim hakatystom. Zajmując tak nieprzychylne stanowisko wobec Koła, centrum przyczynia się do usamodzielnienia tegoż i zbliżenia się do innych stronnictw.

Natomast uderza, że Koło nie postarało się o telegraficzne podpisy swych dwóch nieobecnych członków: p. Mycielskiego i X. Jażdżewskiego. „Jeszcze się nie zdarzyło — pisze pewien organ poznański — ażeby pod wnioskiem ze strony Koła stawianym, brakowało podpisu któregokolwiek z członków, czy to obecnych czy nieobecnych na odnośnem posiedzeniu. Zasada solidarności wymaga, aby wszyscy dali swe podpisy"

Niezawodnie!

* * *

(Q) Na *dwa mandaty*, wakujące przez zgon ś. p. Józefa Głębockiego, wymieniają różne pisma aż *dwunastu* kandydatów, mimo ogólnego braku kandydatów, między innemi do parlamentu: p. mec. Czypickiego, dra Alfreda Chłapowskiego, mec. Wolińskiego, do sejmu posła Korfantego, posła hr. Mielżyńskiego, posła Szmułę i t. d. Miarodawczemi i rozstrzygającemi w tej mierze będą życzenia wyborców, a ponieważ powiaty śremski i średzki ujawniły niedwuznacznie swój charakter ludowy i chlubnie kruszyły kopie za sprawę postępu przeciwko usiłowaniom reakcyjnym konserwatystów, można przypuszczać, iż wybór padnie na polityka stronnictwa ludowego.

Niepopularną będzie, wysunięta przez „Dzien. Pozn." kandydatura ultramontańsko-konserwatywna mec. Wolińskiego, który świeżo oświadczył się gorącym poplecznikiem polityki i zapatrywań posła Dziembowskiego. Natomiast żywą sympatyę budzi kandydatura posła Korfantego, a przemawia za nią niejedno. Wiele obiecujący ten młody poseł mógłby w sejmie poruszać sprawy śląskie i przedstawiać je w oświetleniu polskiem wbrew tendencyjnym głosom takich górnośląskich posłów jak X. Glowatzki. Powierzając mandat wielkopolski Górnoślązakowi zaakcentowalibyśmy zupełną, rdzenną łączność pomiędzy Wielkopolską a Starą Polską. Ale czyż potrzeba takiej manifestacyi przed światem? Czy po ostatnich wyborach na Śląsku może jeszcze kto wątpić, że jesteśmy wszyscy dziećmi jednej matki? Czy Wielkopolska nie zsolidaryzowała się dobitnie z polityką narodową na Śląsku? Nie występujemy przeciwko kandydaturze posła Korfantego w Średzko - śremskim - wrzesińskim, zdając decyzyę w ręce wyborców, lecz ostrzegamy przed kierowaniem się li tylko uczuciem. Zresztą nasuwa się tu obawa, abyśmy nie wystawili sobie świadectwa ubóstwa, szukając posła aż na Śląsku, a, co ważniejsza, nie wyrywali zdolnego pracownika z naturalnego jego środowiska, w którem zaprawdę nie brak pola do działalności. Wszystko to są względy, które wyborcy winni rozważyć, zanim powezmą ostatecznie postanowienie.

* * *

(X) Ile razy *mandat* zabłyśnie na widnokręgu naszym, przebąkuje jeden lub drugi organ o „czynnym i sumiennym Poznańczyku", ale czyni to tak trwożliwie, dyskretnie i „mglisto" jakby sam nie wierzył w powodzenie kandydatury „sumiennego Poznańczyka" i nie brał jej na seryo. Tą „mglistą figurą", którą prasa nie zawsze ośmiela

---

sztuki rodzimej. Mamy przecież w istocie rzeczy dobre i...."

„Kasę! kassę!!" wrzasnął chochlik i zniknął z piekielnym chichotem za piecem.

Wracałem wśród zupełnego mroku do domu, zastanawiając się głęboko nad tem, czy dyrekcya w istocie dobrze robi, usuwając zdolniejsze siły artystyczne z trupy poznańskiej i pogarszając równocześnie warunki abonamentu. Jeszcze nie rozstrzygnąłem zawiłego dylematu, co lepsze, czy wzorowo odegrana sztuka literackiej wartości, czy licho odśpiewana farsa, kiedy wrona, opuściwszy koronę wysokiej topoli, zniżyła lot swój podejrzanie nisko nad moją głowę i huknęła nagle:

„Cha! Cha! Scena narodowa!"

Z daleka odezwał się przeciągły głos nieznanego mi ptaka:

„Naród sobie" — a echo z za jeziora powtórzyło smutnie:

„Naród sobie."

Opuściłem pospiesznie ogród.

Niemir.

Z teatru.

„Il ne faut jamais dire jamais" — nie trzeba nigdy mówić: nigdy, wyrzekać się czegoś uroczyście — poucza Francuz, gdyż swawolny los drwi sobie często z naszych postanowień, niby chochlik płata nam figle i właśnie to każe podejmować, co odpychaliśmy od siebie jaknajdalej. Naonczas odczuwamy, iż spoczywamy na potężnej fali, która popycha, unosi nas wbrew życzeniom osobistym, igra z nami jak z piłką. A na pocieszenie nie pozostaje nam nic innego jak powiedzieć sobie, że fala ta niesie ludzi ku ich przeznaczeniu.

Wzdrygałem się przed piórem sprawozdawcy teatralnego a otóż los skazuje mnie na dźwiganie tego ciężaru i nakazuje poczytywać za obowiązek to, co dla innych jest źródłem przyjemności. Pod wpływem życzeń i gradu słów wymownych dałem się porwać ku murom teatru i ot wylądowałem znowu w krześle „Pracy" — nie bez żalu, że minął okres, gdy wolno mi było ominąć premierę lub niesłuchać, nie patrzeć na scenę, niemyśleć, gawędzić ze znajomymi, zbierać kolekcyę plotek najświeższej daty, gapić się po lożach, trawić wieczerzę, śmiać się na komendę galeryi i drzemać w fotelu, jak zwykle zadowolony z porządku rzeczy śmiertelnik.

Debiut mój był — wesoły i skoczny. Dźwięki muzykiLecocqu'a obległy mnie na wstępie, dźwięki, które przyspieszały obieg krwi ojców naszych, powitały mnie z radością i zrazu zdawało mi się, że przeniesiono mnie pół wieku wstecz a potem zadumałem się nad nieśmiertelnością chrabąszczy i — „Córki pani Angot." Tak nastrojony nie przywdziałem skóry sprawozdawcy, lecz czyż kto oczekuje recenzyi z „Córki pani Angot?"

Wesoło było, nietyle na scenie ile w audytoryum. Śmiech podniósł się raz po raz, oklaskiwano z zapałem śpiewaków, bisowano kankanowe ku-

się wymienić jako kandydata poselskiego jest p. Zenon Lewandowski, ekskandydat mazurski i t. d.

Pięknie! Im więcej ludzi gotowych wziąść na siebie ciężar trudnych obowiązków poselskich tem lepiej, lecz musimy zapytać kto tych kandydatów trzymał do chrztu, jaka ich barwa i charakter polityczny? P. Lewandowski na Mazurach był przeciwnikiem ceł, w Gnieźnie zaś stał się nagle gorącym ich zwolennikiem. Podobno należy do stronnictwa ludowego, ale w Gostyniu na wiecu szył mu buty z zapałem konserwatysty najczystszej wody.

P. Lewandowski jest wiecznym aspirantem do wszystkich mandatów, a kandydatura jego nie odebrała chrztu ani od jednego ani od drugiego stronnictwa. Mimo, że wypalił ludowcom reprymendę i okolicznościowo demaskuje się jako agraryusz, dziennikowcy nie chcą o nim nic wiedzieć, a że ludowcy także nie uważają go za swego, dali wymowny dowód na ostatnim zjeździe delegatów, gdzie oddali mu czarne gałki. Wobec tak wymownego „fiasco“ zdawać się mogło, że mglista kandydatura utonie w tumanie nieprzejrzanej mgły. Tymczasem nie! Niby deus ex machina wyłania się znowu na światło dzienne.

Podziwiać trzeba niezłomność zapału *„sumiennego* Poznańczyka“, ale żałować, nie idzie ona w parze z niezłomnością charakteru politycznego.

Im więcej kandydatów, tem lepiej, ale jednego musimy imperatywnie szukać w ochotnikach, a mianowicie: kwalifikacyi.

* * *

(Q) Posłowie Korfanty i Kulerski upraszają wyborców o materyał parlamentarny. I tak pierwszy w „Górnoślązaku“ prosi o nadesłanie mu do parlamentu zgodnych z prawdą wiadomości gdzie i jak księża niemieccy na G. Śląsku nadużywali ambon do celów politycznych, dalej gdzie i jak Niemcy przeszkadzali w zwoływaniu zebrań i posiedzeń, wreszcie poseł Korfanty zwraca się do górników, werczanów itd. z prośbą, by wyłuszczyli mu swe zapatrywanie na sprawy knapszaftowe, na skrócenie dnia roboczego na godzin 8 itp. kwestye.

Poseł Kulerski w „Gaz. Grudz.“ prosi inwalidów i weteranów z ostatnich wojen, którzy nie są zdolni do pracy a daremnie domagają się zapomogi, aby przesłali mu swe papiery.

* * *

(Q) O polskiego sekretarza parlamentu zahaczył się „Kuryer“ zarówno jak „Dziennik Poznański“ i nie mogą się odhaczyć. W szlachetnym zapale wojowania szpilkami „Dziennik“ dosłyszał się jakichś wieści o rzekomem zmitrężeniu w kołach ludowcowych i dopatrzył się gradu podejrzeń, iż „nowego autoramentu ugodowcy wyklują (sic!) się z sekretaryatu parlamentarnego, do którego podanym został jeden z członków Koła polskiego.“ Podejrzenie takie mogło paść jedynie ze strony „Kuryera“ i „Dziennika“, a padło tylko ze strony „Dziennika“, który mówiąc o ugodowcach nowego autoramentu, przyznaje tem samem, że *istnieli ugodowcy* chociaż często przeczy ich istnieniu. Nie podobno sobie wystawić ugodowców nowego autoramentu, których — według wróżby „Dziennikowej“ — cały rój ma wyrodzić się z sekretaryatu.

Gdy p. szamb. Cegielski został jednym sekretarzem parlamentu, wszystko było w porządku; uchodziło to na wielką zdobycz polityki ugodowej, za sukces Koła i zasługę p. Cegielskiego. Natomiast dziś spada grad podejrzeń na oficynę „Dziennika“, bo sekretarz jest posłem wybranym przez ludowców.

Nie tyle chodzi o to, jaki urząd kto sprawuje, lecz jak go sprawuje. Jeden poseł jako sekretarz przyjmowany u ministrów, odrazu przywdzieje frak dworaka, bo takie są mu wrodzone skłonności; poseł zaś autoramentu hrabiego Mielżyńskiego nie zmieni się w ugodowca; nawet gdyby został marszałkiem parlamentu, pozostanie zawsze przedewszystkiem członkiem frakcyi *polskiej*.

Trzeba mało mieć zaufania do siły odpornej *własnego* patryotyzmu, aby bezpodstawnie dawać przystęp podejrzeniom, iż ktoś inny pod wpływem świateł w salonie ministeryalnym przeoblecze się w ugodowca!

Wiadomo, że hr. Mielżyński długo wzbraniał się przyjąć ten urząd i dopiero w ostatniej chwili wybawił Koło z kłopotu. Prócz „Dziennika“ wszyscy bodaj mają zupełne zaufanie (patrz „Przegląd Prasy“) iż i na tem niemiłem dla Polaka stanowisku będzie on mógł świadczyć pewne usługi Kołu polskiemu.

Jako sekretarz może czuwać, aby w właściwym czasie przypuszczano naszego posła do głosu, może przestrzegać, aby w stenogram mowy jego nie wkradła się omyłka a wreszcie może i po za murami parlamentu informować u steru stojących Niemców o istotnem usposobieniu ludności polskiej. Nie zaszkodzi panu ministrowi jeźli i w poufnej rozmowie posłyszy kilka słów prawdy.

---

aktu niby w grzesznym, niemoralnym Paryżu tak, iż nieboszczyk Offenbach w grobie pozazdrościł pono swemu następcy spóźnionych laurów poznańskich. A teatr był wypełniony po brzegi jak nie bywa na premierach poważnej muzy.

Nadto były miłe pianissima pana Jastrzębskiego, dzielne temperamentowe wysiłki pani Królikowskiej, niezle wyszkolone chóry, był walc, kadryl, piruety, dużo barw, ciżby i ruchu. A jeźli niekiedy orkiestra szwankowała, jeżeli duet Klary i Ange w akcie drugim brzmiał kakofonicznie, jeźli... — któżby uważał na takie drobnostki.

Ja także nie uważałem.

Roman Rola.

Z literatury i sztuki

Henryk Skirmunt „Poezje“, Warszawa, Gebethner i Wolff. — Henryk Skirmunt, autor grywanej z powodzeniem we Lwowie opery „Wołodyjowski“, to śpiewak nietylko z wykształcenia, ale i z istoty talentu, z Bożej łaski, poeta-pieśniarz w całem tego słowa znaczeniu. Dowiódł tego udatnem librettem do własnej opery, stwierdził świeżo wydanym tomem poezji, w których melodyjność i śpiewność górują nad innemi zaletami. Jest nadto w utworach Skirmunta wiele melodji, uchwyconych wprost z piersi ludu rodzinnych stron poety. Wieją z tych piosenek i mgły szare, i zaduma, pachnie dym kurnej chaty, że czasami wydaje się, że to „Hryć szarooki“ nuci:

„O świcie, szła wieszczka kochania, zbierać kwiaty do rozdania... Biedne moje życie! Komu wieszczka kwiatek da, ten kochany rok czy dwa, albo całe życie!“

I tu tęsknica!

Niechże się jej nie wyzbywa poeta i tworzy w dalszym ciągu, w myśl tego, co nam wyśpiewał:

„Gdy ból duszę hardą
Zgina, piosnka mknie —
Bóg za pracę twardą
Liczy pieśni te.“

* * *

Na powodzian z r. 1903, jednodniówka wydana staraniem lwowskiego Koła T. S. L. im. Kazimierza, króla chłopów we Lwowie — wyszła świeżo z druku. Pierwszą kartę stanowi piękny rysunek p. Maryi Wolskiej, a treść

Aby sekretarz tak pojmował swe stanowisko nie przypuszcza ani „Kuryer“ ani „Dziennik“. Pytamy się czy jest rzeczą godziwą, aby pisma polskie zajadliwą krytyką — *a priori* starały się w szowinizmie stronniczym zniechęcać przedstawicieli naszych na trudnem stanowisku? Tak nie postępuje organ patryotyczny! A „Dziennik“ ma czoło zwać się — „narodowym“!

Dwa Sejmy polskie

w Ameryce.

Rodacy nasi w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej posiadają już rozległą sieć organizacyi towarzyskich założonych w celu pielęgnowania solidarności narodowej i ducha narodowego. Mamy tam towarzystwa śpiewackie, „Sokołów“, wojskowe jak np. „ułanów“ „krakusów“ i wiele innych. Ponad wszystkiemi górują atoli dwie organizacye polityczno-narodowe, posiadające zarazem charakter stowarzyszeń asekuracyjnych, a mianowicie: najstarsza ze wszystkich organizacya *„Związek narodowy polski“* i *„Zjednoczenie rzymsko-katolickie.“* Walne zebrania tych organizacyi odbywają się co dwa lata i noszą nazwy *Sejmów.* Na tych „sejmach“ poznać można najlepiej stopień dojrzałości narodowo-politycznej młodego społeczeństwa polskiego za Oceanem oraz nurtujące w niem prądy. Ostatnie odbyły się w miesiącu październiku r. b., sejm *„Zjednoczenia rzymsko-katolickiego“* w *Detroit,* sejm *„Związku narodowego“* w mieście górniczem *Wilkesbarre,* Pensylwanii, widowni tylu krwawych strejków.

Charakter asekuracyjny obu tych związków polega na tem, że wypłacają one rodzinom swych członków, w zamian za opłacane przez nich składki tak zw. *pośmiertne,* rodzaj zapomogi, która stosownie do wysokości składek wynosi 300, 600 lub 900 dolarów, *„Związek“* jest organizacyą znacznie większą od *„Zjednoczenia,“* liczy członków więcej niż dwa razy tyle, ale jest mniej jednolitym na wewnątrz. Podczas bowiem gdy *„Zjednoczenie“* obejmuje tylko towarzystwa lokalne czyli „grupy“ o tendencyi *katolickiej,* wchodzą w skład „Związku“ grupy o wszelkich możliwych kierunkach społecznych, politycznych a nawet *religijnych,* a więc także *socyalistyczne* i tak zw. *kościelno niezależne.* Obie organizacye zwalczały się dawniej w sposób niezmiernie gwałtowny; i dziś wprawdzie żyją z sobą na stopie wojennej, jednakże walka między niemi toczy się obecnie w sposób bardziej parlamentarny.

Sprawozdania wygłoszone na odbytych w październiku „Sejmach“ dały nam pogląd na rozmiary obu i na kierunek ich działalności. Warto rzeczywiście przyjrzeć im się bliżej.

„Zjednoczenie rzymsko katolickie“ liczyło w ubiegłym roku członków 14,946. W jego kasie znajdowało się 93.964 dolarów czyli około 400,000 marek., w tej kwocie 14000 dolarów funduszów rezerwowych. Rodzinom zmarłych w przeciągu ostatnich dwóch lat członków wypłacono razem 146,620 dolarów, a więc przeszło 600,000 marek —. *Sejm* „Zjednoczenia“ w Detroit odbył się poważnie i spokojnie. Wziął w nim udział także znany obywatel polsko-amerykański p. Piotr *Kiołbasa.* Z powziętych na „sejmie“ uchwał dwie zwłaszcza zasługują na przytoczenie. Pierwsza zaleca narodowe wychowanie **młodzieży w duchu katolickim,** pielęgnowanie pieśni polskich w domu i popieranie polskiego handlu i przemysłu. Druga kończy się następującem oświadczeniem: „Wyrażamy naszą głęboką wdzięczność dla rządu Stanów Zjednoczonych, lojalność dla ich ustaw; jesteśmy też gotowi bronić gwiaździstego ich sztandaru, kiedykolwiek okaże się potrzeba obrony.“ Nadmienić w końcu wypada, że „Zjednoczenie“ wysłało do Polski na wsparcia dla powodzian we wszystkich trzech zaborach jedynie w roku bieżącym 1800 dolarów czyli 7500 marek.

Ze sprawozdania Zarządu *„Związku narodowego“* dowiedzieliśmy się, że od ostatniego XIV sejmu, a więc w ciągu ostatnich dwóch lat przybyło mu grup 91 z 8356 członkami, tak, że liczy on dziś ogółem grup 464, rozrzuconych na całej przestrzeni olbrzymiej Unii amerykańskiej. Ponieważ i w starszych grupach liczba członków się powiększyła, wzrosła na ogół o 9463 i obejmuje dziś 36.312, między tymi tylko 1213 nie ubezpieczonych. Fundusze „Związku“ znajdują się również w dobrym stanie i przedstawiają się bardzo pokaźnie. Fundusz pośmiertny wynosił przed 2 laty 30,343 dolarów; w ciągu tych dwóch lat wpłacili członkowie 379.000 dolarów, za zwrócone czeki wpłynęło 5900 dolarów, razem 385.000, z której to kwoty wypłacono tytułem „pośmiertnego“ 384.000 dolarów, tak że w kasie pozostało na rok przyszły 31.200 dolarów. Fundusz rezerwowy Związku urósł do 135.000 dolarów; fundusz obrotny na inne cele obejmował przed dwoma laty 10,191 dolarów, w ciągu ostatnich dwóch lat wpłynęło z rozmaitych dochodów Związku 63.000 dolarów, tak, że miano na wydatki bieżące 73.000 dolarów. Z tej kwo-

---

wydawnictwa dzieli się na dwie części. Część literacka zawiera drobne utwory pp. Balcera, T. T. Jeża, Konopnickiej, Nusbauma, Twardowskiego, ks. arcybiskupa Teodorowicza, Wasilewskiego. Wyrzykowskiego i wielu innych wybitnych autorów. Drugą część stanowią odpowiedzi na pytanie: Jak ze stanowiska polskiego należy się zapatrywać na obecny ruch ludowy u nas? *Jednodniówka* przedstawia w 16 głosach opinię różnych stronnictw o tej tak żywotnej kwestyi. Treść, staranność i piękność wydania jakoteż cel jednodniówki: „Dla powodzian z r. 1903“ zasługuje na szerokie jej rozpowszechnienie, a umożliwia to niesłychanie niska jej cena — 1 kor. 50 gr.

* *

Życie artystyczno-literackie Krakowa zyskało nową podnietę w *klubie* *„Sztuki,“* założonym przez *p. Feliksa Jasieńskiego.* Mało który klub w świecie może się poszczycić takim lokalem, jak krakowski. Wszystkie zbiory p. Jasieńskiego, gromadzone przez dziesiątki lat po całym świecie, zostały przeznaczone na ozdobienie trzech dużych pokojów, stanowiących dziś najulubieńsze rendez-vous Krakowa artystycznego i literackiego. Wyborne położenie, przy lini A—B, nadzwyczaj artystyczne interieur i dobór towarzystwa, czynią pobyt w tej niezwykle kulturalnej atmosferze dziwnie miłym i nęcącym. Członkowie rekrutują się z przedstawicieli sztuki, krytyki i dziennikarstwa, oraz sfer uniwersyteckich. Dobór, przy nader szczupłej liczbie członków, zachowany bardzo starannie, aby nic nie mąciło cywilizowanego tonu umysłowego i artystycznego. **Z bardziej znanych w Krakowie** nazwisk trzeba wymienić pp. Axentowicza, Mehoffera, Laszczkę, Wyczółkowskiego, Stanisławskiego, Tichego, artystów plastyków; prof. Heinricha, Sokołowskiego i Witkowskiego — ze sfer uniwersyteckich; pp. Smarzewskiego, Żuka- Skarszewskiego, Rudolfa Starzewskiego, Witołda Noskowskiego. Konrada Rakowskiego — z prasy i t. d Klub wre życiem głównie między 6. a 8. wieczorem. Tam powstają plany nowych przedsiębiorstw artystycznych, tam układają się wydawnictwa, tam odbywa się wymiana myśli, znajdująca następnie wyraz w kulturalnym odłamie prasy, który po za sprawami miejskiego podwórka widzi jeszcze coś na tym marnym świecie.

Nie w tem jednak spoczywa główna zasługa twórcy klubu, p. Feliksa Jasieńskiego. Wspaniałe zbiory, które-

ty wydano na pensye urzędników „Związku" 14.000, na organ związkowy „Zgoda," 23.531 dolarów, na inne cele, wśród których spotykamy także 200 dolarów na pomnik zamordowanego prezydenta Mac Kinnleya, około 20.000 dolarów. Pozostało więc na rok nowy 16.700 dolarów. Tygodnik „*Zgoda*," którego wydawnictwo kosztowało blizko 35.000 dolarów, przyniósł czystego zysku 4856 dolarów. Redaktorem tego pisma jest prof. *T. Siemiradzki*, z pensyą 1400 dolarów. (6000 marek.)

Te cyfry wskazują wymownie znaczenie „Związku" dla naszych Rodaków za Oceanem także pod ekonomicznym i społecznym względem.

Tegoroczny sejm XV był największy od czasów istnienia „Związku." Wzięło w nim udział 370 delegatów grup lokalnych. Przysłały ich grupy nawet najbardziej oddalone od Wilkesbarre. Na powitanie „Związkowców" wszystkie hotele miasta *Wilkesbarre*, znajdujące się przeważnie w rękach Amerykanów, przystroiły się w chorągwie. W pochodzie do sali zebrań, na którą obrano olbrzymią halę ćwiczeń pułku milicyi pensylwańskiej, wzięło udział 10,000 osób z 7 orkiestrami, mianowicie wszystkie miejscowe i okoliczne towarzystwa polskie oraz znaczne zastępy polskich górników, którzy w tym dniu nie poszli do pracy. Wśród dygnitarzy „Związku" szło kilku wybitnych Amerykanów, przedstawicieli gminy Wilkesbarre. Ci powitali następnie delegatów w sali obrad, wychwalając zalety Polaków. Prezydent miasta *Chicago*, Harrison, przysłał telegram z życzeniami.

Przed sejmem zanosiło się na wielką burzę i to z powodu sporu między prawowiernymi katolikami w „Związku," a tak zw. „niezależnymi," zwolennikami księdza Hodura. Zarząd Związku zakupił mszę św. w miejscowym kościele N. Maryi Panny i nabożeństwo w zborze „niezależnych," przeznaczając na każde 50 dolarów. Proboszcz kościoła katolickiego, czcigodny ks. *Klonowski*, dowiedziawszy się, że dano taką samą kwotę także Hodurowi, zwrócił swoją „Związkowi," a ozdobił kościół i odprawił uroczystą mszę św. w asystencyi kilku innych kapłanów — za darmo. Ponieważ cały zarząd ze sztandarem wziął udział tylko w tem nabożeństwie, „niezależni" grozili awanturą na sejmie, lecz poważniejszym delegatom powiodło się zażegnać burzę, tak że skończyło się na małym huczku.

Zresztą obrady i tego sejmu miały przebieg poważny i spokojny. Skład „sejmu" — pisze „Zgoda" — był bardzo szczęśliwy. Obok dzielnych weteranów z dawniejszych sejmów, widzieliśmy dużo ludzi nowych, przeważnie młodych, a już wyrobionych politycznie, umiejących panować nad gorącością temperamentu i przejętych poczuciem godności swego stanowiska."

Sejm nie skąpił grosza na cele narodowe. Wydziałowi dla krzewienia oświaty wyznaczył 7000 dolarów (30 tysięcy marek), wypracował przytem nowy plan działalności dla tego wydziału.

Dalej uchwalił założyć nową *polską szkołę wieczorną w Chicago*, jako szkołę próbną dla przyszłego szkolnictwa związkowego, nadto stworzył nowe wydziały w zarządzie: dla imigracyi, rolnictwa i handlu i wszystkie zaopatrzył w potrzebne fundusze. Polskiemu seminaryum w Detroit przekazał 500 dolarów na stypendya, a 300 dolarów dał na powstać mający w *Wilkesbarre* „*dom „Bartosza Głowackiego*," który ma być przytułkiem dla starców i kalek z pośród górników polskich tej okolicy. Wymieniamy tu tylko główne jego uchwały. „Była to, jak pisze „Zgoda," największa polska konwencya w dziejach wychodźtwa polskiego w Ameryce."

My w kraju, w ojczyźnie — takich ogromnych organizacyi niestety nie mamy. Dla czego?

Lector.

Z TYGODNIA.

Zima tegoroczna jest — dotychczas przynajmniej — względnie łagodna. Mimo to zapewne każdy z przeciętnych śmiertelników z utęsknieniem wyczekuje ciepłych i jasnych dni wiosny. Nie tak w *polityce*. Mężowie stanu głównych państw europejskich, pragnęliby, jak się zdaje, ażeby zima tegoroczna trwała jaknajdłużej. W przeciwieństwie do zwykłych śmiertelników panowie ci tym razem *boją się — wiosny*. Przyczyną tej dziwnej ich bojaźni jest nieszczęsna kwestya *macedońska*. Zima przerwała *powstanie* tamtejsze i przywróciła tam spokój — przynajmniej na chwilę. Ożyje ono atoli na nowo, skoro tylko ciepłe promienie słoneczne roztopią śniegi i umożliwią pochody przez góry i wertepy, a odżyje napewno, jeśli mocarstwom podczas zimy nie powiedzie się zmusić *Turcyi* do przeprowadzenia zalecanych jej reform. Sułtan po długim wahaniu przyjął nareszcie projekt reform. W Turcyi atoli od przyjęcia takiego projektu do jego przeprowadzenia droga ogromnie daleka. Nie zmieni tej smutnej prawdy nawet fakt, że *Rosya i Austrya* zamianowały już dygnitarzy, którzy mają kontrolo-

---

mi delektują się obecnie ludzie, pracujący na polu literatury i sztuki, są już własnością ogółu i tylko na razie, z braku miejsc, nie mogą być reprezentowane szerszej publiczności. Aktem złożonym w ręce dyr. Kopery, przekazał p. Feliks Jasieński wszystkie swe zbiory wartości realnej około 300 tys. koron, artystycznej — trudno wprost do obliczenia, na rzecz Muzeum narodowego . Lokal klubu jest właściwie oddziałem Muzeum, na razie nie otwartym jeszcze dla publiczności. Potrzebaby jakich kilkunastu sal, aby te wspaniałe zbiory obrazów pierwszorzędnych pędzli, sztychów, akwafort, litografii, wydawnictw artystycznych wszelkiego rodzaju, wreszcie mebli, godnych najpierwszorzędnego muzeum mogły być rozmieszczone jak należy. Trzeba się spodziewać, że po przeniesieniu Muzeum narodowego na Wawel, opróżniony z wojska, znajdzie tam odpowiednie pomieszczenie dla tych przepysznych zbiorów.

* * *

Chór krakowski Towarzystwa Muzycznego pod dyrekcyą p. Wiktora Barabasza wystąpił dwukrotnie w Warszawie z własnym koncertem. Warszawiacy przyjęli drużynę krakowską nadzwyczaj sympatycznie i owacyjnie.

Doskonałość chóru krakowskiego polega nietylko na dobrych siłach śpiewaczych chóralnych, a muzykalnych, jak to mówią, w każdym calu, ale polega też na pracowitem i sumiennem, a nader systematycznem wyszkoleniu.

Prócz kilku znakomitych utworów, wykonanych pod subtelną a stanowczą dyrekcyą p. Barabasza, chór krakowski z towarzyszeniem orkiestry wykonał także podniosły Psalm 46 p. Zygmunta Noskowskiego pod kierunkiem samego kompozytora.

* * *

W Filharmonii warszawskiej odbył się dnia 8-go b. m. *pierwszy koncert dziecięcy*, w którym wystąpili: 10-cio letni skrzypek, Florizel Reuter, ze Szwajcaryi, 11-to letnia pianistka, Friedmanówna i maleńka Zimajer-Rapacka, deklamatorka. Oryginalny ten koncert urozmaicił chór dziecięcy, pod kierunkiem p. Szczygielskiego. Popisom dzieci przysłuchiwała się ciekawie dziatwa, bardzo licznie zebrana w sali i żywo oklaskująca swoich rówieśników.

* * *

Salon sztuk pięknych Al. Krywulta w Warszawie otworzył w ubiegłym tygodniu ***wystawę głośnego norwegskie-***

wać akcyę reformową generalnego inspektora tureckiego Hilmi baszy. Tacy komisarze i gubernatorzy tureccy mają tysiączne sposoby i sposobiki do przewlekania sprawy, która wydaje im się niesympatyczną i umieją zręcznie, używając wyrażenia trochę trywialnego — „wodzić za nos“ wszelkich europejskich kontrolerów. A tymczasem nietylko przywódcy powstania lecz także ministrowie *bułgarscy* oświadczają, że jeżeli podczas zimy nie nastąpi widoczna zmiana na lepsze w położeniu chrześciańskiej ludności w Macedonii, jeżli rząd turecki nie wyda amnestyi ogólnej, jeżli nie odbuduje spalonych zagród, jeżli nie zaprowadzi chociaż ograniczonego samorządu — nietylko powstanie wybuchnie z dawną siłą lecz i wojna bułgarsko-turecka stanie się nieunikniona. „Jesteśmy cierpliwi — mówił w tych dniach bułgarski prezydent gabinetu Petrow do jednego z korespondentów pism wiedeńskich, cierpliwsi niżby był inny jaki naród na naszem miejscu, gdyby tuż pod jego bokiem mordowano w tak okrutny sposób jego braci. Ale przyjść może chwila, w której *zmuszeni* będziemy chwycić za broń i ująć się za naszymi braćmi. Wszystko zależy od tego, co podczas zimy zdołają osięgnąć Rosya i Austrya.“

I oto powód, dla którego dyplomaci mocarstw tak bardzo obawiają się wiosny. Wojna turecko bułgarska może bowiem wywołać zawikłania, które zaciążą bardzo nad całą *Europą*.

Jak daleko postąpiły na seryo rokowania w tej sprawie między obu temi mocarstwami a Turcyą, o tem dowiemy się zapewne już w tym tygodniu z obrad *delegacyi austro-węgierskich*, które zebrały się dnia 15 bm. Wspólny minister spraw zagranicznych tego mocarstwa otwiera je zwykle obszernem expose politycznem, resztę zaś — o ile to ze względów dyplomatycznych możliwe — wyjaśniają interpelacye .

Że się delegacye te wogóle w roku bieżącym mogły zebrać, to jedynie zasługa nowego *węgierskiego* prezydenta gabinetu, hr. Stefana *Tiszy*. Dokazał on rzeczywiście tego, co jeszcze przed miesiącem uważano niemal za niemożliwe, rozbrojenia obstrukcyi węgierskiej bez zaprowadzenia w pułkach węgierskich madziarskiej komendy. Przywiózł on wprawdzie Węgrom dużo innych ważnych koncesyi w dziedzinie narodowej, na chwilę atoli ocali jeszcze „jednolitość“ austro-węgierskiej armii.

Stosunki w Sejmie węgierskim wróciły znów na normalne tory, co jednakże nie wyklucza, że Węgrzy w dalszym ciągu starają się wywalczyć sobie zupełną niezawisłość od *austryackiej* części monarchii. Coraz częściej też zachodzą teraz starcia między węgierskim i austryackim prezydentem gabinetu, który za wszelką cenę pragnąłby w wspólnej monarchii utrzymać nadal przewagę Wiednia nad Budapesztem.

Te usiłowania dr. *Koerbera* sprawiają tem dziwniejsze wrażenie, gdy się widzi, że jest on bezsilny nawet wobec *własnego* parlamentu, osławionej *austryackiej Rady państwa*. Rada ta zebrała się przed kilku tygodniami na nową sesyę, członkowie jej pobrali przez ten czas blisko 200,000 koron dyet poselskich, aby w końcu rozjechać się do domu nic nie zdziaławszy. Rzeczywiście podczas tej kilkotygodniowej sesyi nie zapadła ani jedna uchwała, któraby jakikolwiek pożytek przynieść mogła państwu i jego ludom. Przyczyną tego była obstrukcya *Czechów*. Nie oni atoli winni, że aparat parlamentarnej Austryi przestał zupełnie funkcyonować. Głównym winowajcą jest w tym wypadku właśnie dr. *Koerber*, który tak samo, jak upiera się przy przewadze centralizmu wiedeńskiego co do Węgier, nie chce zerwać z hegemonią Niemców w Austryi, nie chce czy nie ma odwagi zmusić *Niemców austryackich* do wymierzenia sprawiedliwości Czechom. Ci żądają tylko tego, co im się słusznie należy. To też niemałe wzburzenie wywołał w polskich sferach Galicyi fakt, że i prezes Koła polskiego w Wiedniu, *Jaworski* zwrócił się dość ostro przeciwko obstrukcyi czeskiej. Zaprotestowała przeciwko temu nawet znaczna część Koła i pan Jaworski w końcu zniewolony był enuncyacyę swą złagodzić. Nie ulega atoli wątpliwości, że parlament austryacki wkrótce już zostanie rozwiązany.

Z niemniejszemi trudnościami zdaje się walczyć rząd w *Hiszpanii*. Tam znów uprawiają obstrukcyę *republikanie*, których ostatnie wybory wprowadziły do Kortezów w znacznej liczbie. Ofiarą ich obstrukcyi padł gabinet liberalny *Villaverda*. Czy nowy gabinet pod kierunkiem konserwatysty *Maura* będzie szczęśliwszy, to już najbliższa pokaże przyszłość.

O ile te wewnętrzne zatargi w Hiszpanii mało obchodzą resztę Europy, o tyle znów interesuje ją a nawet niepokoi rozwój zatargu *rosyjsko-japońskiego* na dalekim wschodzie azyatyckim. Nie można zaś powiedzieć, iżby zatarg ten przybrał charakter łagodniejszy. Słyszymy wprawdzie codziennie, że car pragnie utrzymania pokoju, widzimy wyraźnie, że rząd japoński na prawdę usposobiony jest pokojowo, mimo to wojenne starcie między obu temi państwami bynajmniej jeszcze nie jest wykluczone. Rosya uzyskała świeżo od *Chin* nowe koncesye co do *Mandżuryi*, tak że nie potrzebuje jej już oddać „niebieskiemu państwu,“ mimo to nie spuszcza z oka także *Korei*, lecz i tam pragnie zapewnić sobie kilka portów i rozległą „sferę interesów.“ To zaś sprzeciwia się żywotnym interesom Japonii i chociaż rząd Mikołaja zaraz nazajutrz po zwołaniu parlamentu rozwiązał go z powodu zbyt wojowniczego usposobienia posłów, jednak nie daje to gwarancyi, że zdoła on tak samo poskromić wojowniczy zapał w całym narodzie japońskim, który gwałtem domaga się wojny z *Rosyą*.

Dla rządu rosyjskiego, chociaż wypiera się on tendencyi wojennych, wojna z Japonią może by była pożądana. Odwróciłaby ona uwagę ogółu rosyjskiego od niedomagań wewnętrznych, które znajdują wyraz w coraz częstszych wybuchach o charakterze rewolucyjnym. Świeżo znów wybuchły zaburzenia na uniwersytetach w *Petersburgu i Kijowie*.

W parlamencie niemieckim rozpoczęła się w dniu 10 bm. *dyskusya budżetowa*. Zagaił ją nowy sekretarz stanu dla skarbu niemieckiego *Stenzel* obszernem expose, z którego wynikało to jedno, że finanse niemieckie znajdują się w opłakanym wprost stanie i że na pokrycie niedoboru potrzebną znów będzie znaczna pożyczka. Dwóch następnych mówców: centrowiec X. *Schaedler* i socyalista *Bebel* ostro uderzyli na rząd, krytykując mianowicie

---

go symbolisty Edwarda Muncha. Wystawa zajmuje jedną z większych sal i obejmuje 70 oryginalnych akwafort i autolitografii, w części kolorowych. Zastanawiają: „W kąpieli,“ „Noc księżycowa“, „Przy oknie“, „Przebudzenie“, „Portret Strindberga“, „Wiosna“, „Śmierć“, „Dzieci“, „Bulwar“, „Embryon“, „Po baliku“, Dwoje“, „Rozpacz“, „W szpitalu“, „Karawan“ „Otucha“, „Serce“, „W zaświeciu“, „Jasna noc“, „Życie i śmierć“, „Spotkanie we wszechświecie“, „Zazdrość“, „Monna“, „W pokoju zmarłego“, „Fala“, „Chora dziewczynka“, „Kobieta wampir“ i inne.

Nadmienić należy, że p. Stanisław Przybyszewski pisał obszernie o Munchu, w książce, zatytułowanej „Na drogach duszy“.

* * *

Najbliższą nowością w Warszawie na scenie teatru Rozmaitości będzie sztuka *p. Zapolskiej „Nieporozumienie“*, z której próby pamięciowe już się rozpoczęły.

—*ski*.

administracyę wojskową i wogóle stosunki w armii, na które książka Bilsego i liczne procesy o maltretowanie żołnierzy bardzo niekorzystne rzucają światło. Zarzuty obu mówców odpierał kanclerz hr. *Bülow*. On naturalnie widzi wszystko w różowem świetle, a wojsko uważa za *świątynię*, której spalić i zburzyć nie pozwoli.“ Z ust Schaediera dowiedzieliśmy się, że Centrum i nadal w myśl swoich zasad programowych głosować będzie przeciwko wyjątkowym ustawom antipolskim; wymowny ten prałat niemiecki zapewnił nam i nadal łaskę i wyrozumiałość Centrowców, bylebyśmy tylko wyrzekli się — „*mrzonek o wskrzeszeniu państwa polskiego*“!!

Zdaje się w każdym razie, że nowa pozycya o budżecie Rzeszy na dodatki do pensyi dla urzędników pocztowych *nie będzie uchwalona* i że ci panowie zniewoleni będą obyć się bez tych dodatków. Gorąco przemawiał za niemi stary nasz „przyjaciel“ poseł *Sattler*, ale zaraz otrzymał doskonałą odprawę z ust posła naszego dr. *Skarzyńskiego*, którego mowę podajemy na innem miejscu. Rychło więc rozpoczęły się i w parlamencie *debaty polskie, lecz* wobec świeżych sił naszego Koła możemy dalszych oczekiwać z całym spokojem.

M. O.

Przegląd prasy.

Chora wyobraźnia hakatystów pracuje nieustannie nad tworzeniem coraz to nowych a zawsze potwornych projektów polakożerczych. Grudziądzki „*Geselliger*,“ znany hakatystyczny blat, wystąpił świeżo z wnioskiem, aby gazety polskie wychodziły z niemieckiem tłomaczeniem, na co nawet „Germania“ lubo nie miluje Polaków, oburzyła się, pisząc w te słowa:

„Żaden uczciwy człowiek nie może zaprzeczyć, że projekt narodowo - liberalnego grudziądzkiego „Gesellige“ byłby środkiem nader reakcyjnym i nowem wyjątkowem prawem przeciwko Polakom. Na przyjęcie wniosek podobny liczyć nie może, nawet gdyby nie miał na celu zupełnego uniemożliwienia wydawania polskich gazet. Co więcej, uzasadnienie projektu grudziądzkiego „Gesellige“ nie wytrzymuje krytyki. Jeżeli bowiem wypowiedziano zasadę, że gazety stać mają „pod kontrolą całej publiczności,“ wtedy w naturalnej konsekwencyi musiałyby gazety niemieckie wychodzić w polskiem tłomaczeniu, ażeby publiczność polska, która wedle konstytucyi jest równouprawnioną, kontrolę nad niemi rozciągnąć mogła. Czyż może grudziądzki „Gesellige“ projektem swym chce zapoczątkować erę rzeczywistego równouprawnienia?“

Sprawę zamachu Niemców na poznańskie *bractwo strzeleckie* rostrząsa „*Dziennik Berliński*,“ a warto, aby interesowani Poznańczanie uwagi te poznali:

„Nie wchodzi[illegible] to, czy bractwa strzeleckie [illegible]le, a bractwa strzeleckie w polsk[illegible] dzielnicach mają w dzisiejszych czasach jeszcze jaką racyę bytu, dość że do poznańskiego Bractwa strzeleckiego należą liczni znani z występów publicznych „patryoci“, którzy wiecznie mają na ustach „ojczyznę, knuty, Sybir, kajdany“ itp., a którzy na festynach Bractwa bez najmniejszego słowa protestu słuchają niemieckiej komendy, niemiecko - patryotycznych przemówień i toastów.

„Zbytnia uległość tych mieszczan polskich, którzy dotąd do Bractwa należeli, a mianowicie tych, którzy niem kierowali i którzy dopuścili do przyjęcia w r. 1898 nowych ustaw, ubliżających godności narodowej każdego prawego Polaka, rozzuchwaliła tak bardzo niemieckie koła, że one dziś już bez wstydu uknuły spisek na jego dotychczas dwujęzykowy charakter.

„I jak się polscy kierownicy i członkowie Bractwa wobec rosnących apetytów hakatyzmu zachowali? Zamiast stanowczo się oprzeć ryczałtowemu przyjęciu 270 niemieckich urzędników na członków, zamiast wywołać o to w danym razie zatarg kompetencyjny z magistratem, który według starej tradycyi polskiej ma nadzór nad Bractwem, a w razie przegrania sprawy wyjść z honorem z Bractwa, ugięli się przed żądaniem hakatyzmu i przez ryczałtowe przyjęcie 270 urzędników dotychczasowa większość polska zamieniła się od razu w wielką mniejszość.

„Dziś oni wyjść będą musieli z Bractwa bez honoru, bo w razie przyjęcia potwornych wniosków — a o przyjęciu ich najmniejszej nie ma wątpliwości — dla szanującego się Polaka nie będzie tam miejsca.

„Czy wyjdą z Bractwa wszyscy Polacy? Czy znajdą się tacy, którzy przyjmą wymierzony im policzek?

„Dowiemy się o tem w styczniu!“

Z okazyi mowy posła dra *Skarżyńskiego „Dzien. Berl.*“ kreśli tak jego sylwetkę:

„Poseł Skarzyński przedstawił się nam jako nowy typ mówcy niedbającego zupełnie o popularność w kraju lub o wywieranie efektu; apeluje on tylko do rozsądku, nie do serc, nie chce on ani porwać, ani zgnębić, tylko przekonać słuchacza. Ten wykwintno-chłodny sposób przemawiania wrażenia w parlamencie nie wywiera i popularności w kraju też nie daje; trochę patosu — o ile w dobrym gatunku — nie zaszkodzi mówcy nigdy, przeciwnie nadaje mowie polot i siłę. Nie może się zaś wprost obejść bez pewnego patosu mówca przemawiający w obronie spraw narodowych i w imieniu mniejszości gnębionej przez nowoczesny system krzyżacki.“

„*Dzien. Berl.*“ podnosi, że poseł Skarżyński liczy się przezornie z każdem słowem i z doniosłością chwili obecnej co w kadym razie jest pożądanem.

Z powodu, że Koło polskie przyjęło ofiarowany sobie *sekretaryat parlamentu* gazety konserwatywne kują broń przeciwko Kołu, rozdymając błahą tę sprawę do potwornych rozmiarów i przedstawiając rzecz w fałszywem świetle. Wobec tego warto posłuchać relacyi korespondenta parlamentarnego z „*Gazety Toruńskiej*.“ Pierwotnie Koło zamierzało wydelegować do zarządu parlamentu p. Jantę Połczyńskiego, a gdy ten wytłomaczył się innymi obowiązkami udano się z prośbą do hr. Mielżyńskiego, ale i ten się wymawiał choć z innych powodów — pisze korespondent i ciągnie:

„Dopiero w ostatniej chwili zdołano go nakłonić do przyjęcia wyboru do zarządu parlamentu. Koło mogło mieć do posłów, których chciało wydelegować do zarządu izby, zaufanie, iż obowiązki swojego urzędu zdołają pogodzić z godnością narodową i ze stanowiskiem Koła polskiego w parlamencie. Ja ani na chwilę nie powątpiewałem o tem, *a osoba posła Mielżyńskiego jest mi dostateczną gwarancyą*.

„Koło nie mogło się zdecydować na odrzucenie ofiarowanego sobie w zarządzie izby miejsca z pewnych względów *natury czysto praktycznej*, które łatwo odgadnie każdy, kto o stosunkach parlamentarnych ma jakie takie pojęcie. Nie słyszałem przecież o tem, żeby sekretarz polski służył jedynie do usunięcia sekretarza socyalisty i Koło — jak sądzę — do tego z pewnością nigdy nie pozwoliłoby się użyć. Zresztą na liście kandydatów, ułożonej przez przywódców stronnictw i rozdanej wszystkim posłom, umieszczono — obok Polaka — także dwóch socyalistów. Nazwiska ich przecież większość skreśliła, wskutek czego nie otrzymali oni dostatecznej liczby głosów.

„Tak się przedstawia z blizka sprawa „polskiego sekretarza“ i nie pojmuję, jak można ze sprawy tak w istocie drugorzędnej robić kwestyę stanu. Dziwię się wogóle, że niektóre gazety, które do niedawna występowały w obronie Koła i wszelką jego krytykę uważały nie-

mal za zbrodnię, teraz nagle w sposób małostkowy czepiają się każdego zbiorowego czynu, każdej uchwały reprezentacyi polskiej. Widocznie są ludzie, dla których kościół tylko dopóty jest świątynią, dopóki oni w niej dzwonią na pacierze.“

Na charakterystyczną złośliwą wycieczkę dziennikową przeciwko hr. Mielżyńskiemu daje *„Goniec Wielk.“* taką replikę:

„Dzien. Pozn.“ stara się wmówić w świat, że ugodowców nie ma, ale że oni wypłyną po stronie, która ich najsilniej zwalczała, że się wykłują z „sekretaryatu“ parlamentarnego, jak gdyby tego urzędu nie dało się inaczej sprawować jak dotąd.

„Takie naciąganie wybrańca polskiego narodu, hr. Mielżyńskiego, który posłem został nie pod egidą ugodowcowego „Dzien. P.“, lecz z woli ludu — jest niegodziwą wycieczką osobistą, nader niską, złośliwością i lichą zemstą.

„Lud polski ma zaufanie do hr. Mielżyńskiego, który narzuconym kandydatem jak inni nie był i zapewne potrafi urząd sekretarza dzierżyć inaczej niż owi „rutynowani“ a pod niebiosa wysławiani adherenci „Dziennikowi“, wsadzenie których na wysokiego ugodowego konika wepchnęło ich w obłęd wielkościowy i w bagno, z którego im trudno przyjdzie się wywlec!...“

W swym szowinizmie stronniczym dochodzi *„Kur. Pozn.“* do dziwacznej konkluzyi. Mniejsza, że dopatrzył się w „Pracy“ jakichś „sprzecznych zapatrywań;“ nie dziwi nas to, bo „Kuryer P.“ czyta „Pracę“ przez okulary grubego osobistego uprzedzenia. Ale „Kuryer“ rozumuje tak: ponieważ „Praca“ nie miała nic przeciwko przyjęciu pana Kulerskiego do Koła, a p. hr. Mielżyński jest jednym z właścicieli „Pracy,“ więc „trzem członkom zarządu, których nam Prusy Zach. do Koła dostarczyły, trudno będzie wytrwać długo w jego koleżeństwie.“ Niech nam „Kur. P.“ daruje, ale takiego bezsensownego naciągania nawet szowinizm nie wytłomaczy polityczny.

Zamiast rozwodzić się nad dziwaczną logiką *„Kuryera“* albo raczej jej brakiem, powtórzymy za jego korespondentem warszawskim fakt okropny, który *„godnym jest rozpowszechnienia w dziennikach całego świata.“*

„Oto w mieście Siedlicach, na odległym od kontroli publicznej kącie zginęło w aptece miejscowej z kasy podręcznej 72 rb. Podejrzenie aptekarza, lotne jak para uchodząca z jego dekoktów, padło na młodego aptecznego laboranta Sadowskiego. Oddano go w ręce władzy a raczej wszechwładzy p. policmajstra von Arnolda, młodego, 37-letniego czynownika z odznaką ukończonych studyów uniwersyteckich na piersiach.

„Sadowskiego uwięziono i poddano śledztwu, które miało być raczej tylko formalistyką biurową. Tymczasem natrafiono na upor niewinnego, który nie chciał, bo nie mógł przyznawać się do winy niepopełnionej wcale. Takie stanowisko w śledztwie uchodzi u nas poprostu za bunt przeciw władzy, która też stosuje odpowiednie środki do przełamania go.

„Środki? Czytaj *tortury.*“

„Poddawano im nieszczęsnego Sadowskiego, z całem okrucieństwem wymyślonem *specyalne* dla *mężczyzn* tylko stosowanem. Resztę niech wam dopowie wyobraźnia, skoro nie pozwala ich opisać wzgląd na przyzwoitość i moralność. Prócz tych mąk bito go i siekano tak, iż 812 centymetrów kwadratowych ciała zajęła jakby jedna rozlana rana.

„Jak strasznem musiało być położenie nieszczęsnego, dowodzi fakt, iż nie mając żadnego innego sposobu, dwukrotnie popełniał samobójstwo, którego obraz urąga wszelkiej znanej grozie, a ścina krew w żyłach......“

Straszne! Zarzucamy zasłonę na tę nad wyraz bolesną ilustracyę stosunków w Królestwie, która przenosi nas w czasy średniowieczne, czy barbarzyńskie.

Aby nie poddać się wrażeniu grozy i boleści, szukamy jaśniejszych stron życia. W pogodny nastrój wprowadza nas dowcipny felieton poety Kaźmierza *Glińskiego* w warszawskim *„Bluszczu,“* dotyczący procesu hr. *Kwileckich.* Pisze on co następuje:

„O hr. Hektorze, autorze tego skandalu nie zapomniała rzeczpolita babińska; z za światów spadł skrypt na ziemię; widać, że czuwają jeszcze nad nią sławni założyciele rzeczypospolitej: Pszonkowie i Kaszowscy. Nie będziecie się na mnie gniewały szanowne Czytelniczki, jeżeli was z tym dokumentem zapoznam.

Rzeczpospolita Babińska
rediviva
Scitoribus salutem!

A ów JWny Jego Mość pan hrabia Hektor na Kwilczu Kwilecki, jako Curator ventris JWnej pani Ordynatowej, Stryjenki swej tak wielką okazał gorliwość, iż sława gorliwości onej cały świat obiegła — ba! nawet do nas, odeszłych już ze ziemi, nas z ciemnoty doszła; gdy więc tą gorliwością swoją dawno zapomniany urząd Wojskiego, tak świetnie wskrzesił, przeto My, Starszyzna tej przesławnej Rzeczpospolitej Babińskiej i ostatni jej na ziemi przedstawiciele wyż wymienionym rozgłosem z innego świata powołani przybyliśmy, ażeby pomienione zasługi Jego Mości pana hrabiego Hektora na Kwilczu Kwileckiego z dobrej woli Jego Mości, a bezinteresownie uczynione, należycie uczcić, a od niepamięci zachować. W uznaniu tedy niestrudzonych zasług onych wyż wymienionego Jego Mości pana Hektora hrabię na Kwilczu Kwileckiego Woyskim Babińskim mianujemy, życząc mu zdrowia i powodzenia w udoskonaleniu prawodawstwa w tym duchu, iżby na przyszłość wszyscy ordynatorowie obowiązani byli mieć świadków nietylko urodzenia, ale i poczęcia.

Skrypt ten dla większej mocy jego pieczęcią autentyczną Babińską roborujemy.

Dan w Babinie na giełdzie dnia 21. IX bris A. D. MIMIII.

Adam Pszonka podkomorzy lubelski.

Paweł Orzechowski, kanclerz babiński.

Remigiusz Kielczewski, podsądek lubelski.

L. S. Na pieczęci w otoku napis: Sigillum Domini Babin.“

Redakcya.

Głosy od Przyjaciół.

Swarzędz, 25 listopada.

Szanowna Redakcyo!

Z radością wielką przyjęliśmy tak długo oczekiwaną wiadomość, iż jeden z rodaków naszych ma zamiar wkrótce otworzyć skład żelaza, połączony z artykułami budowlanemi w mieście naszem! Zaiste, — aż nadto długo spał naród nasz, czas więc nareszcie, aby się ocknął z uśpienia i stanął na równi z największym nieprzyjacielem polskiego handlu i przemysłu. Jak wiele setek i tysięcy marek z polskich rąk przechodzi w ręce kupców żydowskich, o tem ten tylko jedynie dobrze jest poinformowanym, kto tego codziennie naocznym jest świadkiem. Mój Boże, jak często słyszymy skargi biednych naszych rzemieślników polskich, którzy ciężko, bo „w pocie czoła“ swój krwawo zapracowany pieniądz — do żydka — zanosić są zmuszeni, ponieważ handlu polskiego tej branży w mieście naszem nie ma, a do Poznania zawsze po towary jeździć byłoby niemożliwem. Również i okolica nasza szczyci się przeważnie gorliwymi i prawdziwymi Polakami, którzy częścią z Poznania lub z Kostrzyna, częścią z oddalonej Wrześni lub z Kórnika swe zamówienia w artykułach budowlanych i potrzebach tego rodzaju zaspokoić muszą, narażając się przez to często na niedogodności.

W imieniu więc całego społeczeństwa polskiego jak również wszystkich rzemieślników polskich miasta Swarzędza i okolicy udajemy się do współbraci rodaków naszych z prośbą, aby wspólnem działaniem Towarzystw Przemysłowych przedewszystkiem zaś Poznańskiego i Swarzędzkiego, przedsięwzięty zamiar wkrótce przeprowadzić, który w krótkim czasie błogiemi skutkami uwieńczonym będzie, gdyż dla Polaka zapewnioną jest pewna egzystencya.

Z jak wielką radością oczekujemy wysłuchania próżb i uzasadnionych wymagań naszych, — z tak wielką nad wyraz przykrością przyszłoby nam dzielić się wiadomością tak smutnego faktu, gdyby wróg nasz rodaka wyprzedził.....

Nie traćmy więc czasu, ani jednej chwili, która nas drogi pieniądz kosztuje i rujnuje materyalnie, obcych zaś z każdym dniem zbogaca, a — żyda — z wdzięczności za naszą dotychczasową obojętność narodową — podłym i hardym dla polskiej klienteli rzemieślniczej czyni. Z ust wiarogodnych dowiadujemy się dalej, iż miasto nasze od czasu do czasu tak polscy, jak i niemieccy panowie zwiedzają, dowiadując się potajemnie o stósunkach tutejszych, celem otwarcia rzeczonego handlu żelaza. Weźmy się więc zawczasu do dzieła, zanim nam jaki „*Kaufhaus,*“ lub prywatny jaki niemiecki przedsiębiorca w wykonaniu zamiaru naszego przeszkodzi, co jest bardzo możliwem. Nikt nas jednakże nie wesprze, gdy sami się wzajemnie wspierać nie będziemy. Żyd wspiera żyda, Niemiec — Niemca, gdy zaś my Polacy żydów i Niemców wspierać i paść będziemy, któż nam dopomoże?!

Dążmy jedynie tylko *wzajemnie* do jedynego naszego celu, którego hasłem: „Do pracy! Do wspólnej, zgodnej walki o byt!“

Wtenczas dopiero, gdy zawsze i wszędzie „Swój pójdzie do Swego,“ błogie owoce działań, twardych i mozolnych prac naszych, — dla nas i pokolenia naszego będą zapewnione. Czy mało jeszcze mamy codziennych przykładów, w jak wysokim stopniu są nam nieprzychylni wrogowie nasi. Niechaj więc nikt nie zaniedbuje obowiązków najświętszych i poprzestanie na zawsze grzeszyć przeciw własnej narodowości, gdyż czas obecny nas koniecznie zmusza do przebudzenia się z dotychczasowego uśpienia, a lepiej się nam powiedzie i podniesie się ogólny dobrobyt całego kraju i narodu naszego.

Pisma zaś wszystkie i gazety, upraszamy o bezustanne nawoływania do wspólnej, zgodnej pracy, aby i młodzież wzrastająca zaraz na wstępie w każdej gazecie czytała te słowa: „Kupujcie tylko u Swoich“! A dałby Bóg, iżby się wzmacniała z dniem każdym i rosła na chwałę Bożą i pożytek Ojczyzny naszej!

W Imieniu wielu!...

Stefan Żelazny.

Wągrówiec, 30. 11. 1903.

(Echo z wyborów.)

Kochana „Praco!“

Należy nam się zastanowić dla czego to w okręgu wągrowiecko-żnińsko-mogileńskim nie przeprowadziliśmy polskiego kandydata. Jak już wiadomo kolonizacya zabrała w tych powiatach ogromne obszary pod swe panowanie; szczególniej powiat wągrowiecki przedstawia istny obraz spustoszenia. Całemi milami ciągną się kolonie, a gdy do tego dodamy tę piękną geografię wyborczą, jaką pp. landraci urządzają, nic dziwnego, iż zwycięstwo po ich stronie być musiało. I tak Niemcy zdobyli 242 głosami przeciw 200 głosom naszym powyższy okręg. A któż najwięcej się przyczynił do naszej porażki? Oto żydzi! Gdyby nie żydzi to jeszcze wiele lat dziesiątek okręg ten dzierżyliby Polacy. Wągrowiec wybierał 21 walmanów i z tych dostaliśmy 5 walmanów a Niemcy 16.Mówię Niemcy resp. żydzi zdobyli walmanów 16 razem, bo gdyby żydostwo się od wyborów wstrzymało, to w samym Wągrówcu Niemcy nie przeprowadziliby *ani jednego* walmana. Tak samo w Żninie. Żydzi przeprowadzili 15, w Skokach wszystkich, gdyż tam Polacy ani jednego walmana nie mieli, dalej w Gołańczy prócz jednego Polaka, wszyscy *Niemcy przez żydów wybrani.* Gdy teraz dołączymy Mogilno gdzie również żydzi kilku Niemców przeprowadzili, dalej Janowiec, Mieścisko, Lekno itd., to otrzymamy *co najmniej 70 walmanów przez żydów zdobytych.* Taką to potęgę stanowią żydzi w tym okręgu, i gdyby nie to brzydkie plemie zwycięstwo byłoby po naszej stronie.

Pytam się teraz Was, kochani Rodacy kto temu winien. Oto ze skruchą wyznać musimy iż sami sobie ten wstyd sprawiliśmy. Byłem sam walmanem i widziałem z jakiem ciężkim sercem i spuszczoną głową od wstydu polscy walmani lokal wyborczy opuszczali, złorzecząc w duszy temu plemieniu żydowskiemu, które z naszej porażki się cieszyło i naśmiewało. Doprawdy krew stygnie w żyłach, patrząc jak to żydostwo przez *Polaków a szczególniej przez nasze Polki zbogacone,* dzisiaj nam tak płaci za chleb, którym tych pasożytów potuczyliśmy i jeszcze tuczymy. Polacy i Polki czy dalej jeszcze popierać będziecie żydowstwo na to, aby potem nas proletaryatem zwało? Czy już zupełnie pozbawieni jesteście rozumu i wstydu, i czy chcecie aby dzieci wasze stały się pognojem tegoż plemienia? Doprawdy zapłakać można nad losem Polaków jak sami sobie grób kopią. Kiedyż przejrzysz narodzie polski i kiedy się poczniesz szanować? Patrzcie na pobratymców Czechów, jak oni się popierają i szanują. Gdyby to u nich żydzi tak mieli postępować, zaiste z głodu by powymierali. Dla tego brak mi słów, aby skarcić Polaków za ich postępowanie, a zwłaszcza dla tych, którzy mają być przykładem i nauczycielami w narodzie, to jest szlachty i inteligencyi naszej, która, jak to codzień widzimy z bólem serca, na czele kroczy do żydowskich handli i li tylko żydom daje zarobki. Czy szlachta nasza i inteligencya nasza myśli, iż my się może na nich już nie poznali, i że co oni zrobią to mądre i dobre? Doprawdy że za ich przykładem nie pójdzie naród cały, ale raczej ze wstrętem odwróci się od nich. Może powiedzą, iż nie ma Polaków kupców i handli polskich, żeby ich można obsłużyć. Dzięki Bogu, jesteśmy na usługę, tylko czekamy waszego przybybcia i waszego zaproszenia. A więc z miłości dla naszej biednej Ojczyzny i z miłości ku Rodakom, nawołuję Was, zejdźcie z błędnej drogi i nie bogaćcie żydowstwa, ale hasło „swój do swego“ wprowadźcie, jeżeli chcecie jako naród żyć i istnieć!

Wierny.

Z pod Witkowa, 1-go grudnia.

(*Echo z wyborów.*)

Pominąwszy wszystkie inne okręgi, w których przy wyborach do sejmu pruskiego przeprowadziliśmy naszych posłów, pragnę skreślić kilka słów o wyborach w okręgu gnieźnieńsko-witkowskim. Zdawało się, iż okręg ten, w którym w przeszłej kadencyi tylko jednym głosem większości wybrano naszego kandydata, tym razem ulegnie naporowi niemczyzny.

Na komendę król. regencyi bydgoskiej, zajęli się naczelnicy powiatów szeregowaniem pod sztandar hakatystyczny zawołanych patryotów i ostmarkenzulagerów; jednem słowem zaalarmowano całą armią urzędników, kładąc im na sumienie interes niemieckiego vaterlandu i zdawało się, że to nie zwyczajna agitacya wyborcza, ale pospolite ruszenie naprzeciw Polakom. Nadto wysłano listy agitacyjne nietylko do urzędników Polaków, ale nawet

do ludzi niezależnych i Polaków noszących niemieckie nazwiska. Przytoczę tu chociaż tylko jeden podobny przypadek, który wydarzył się w Kędzierzynie, gdzie kowal p. Draheim, który mimo niemieckiego nazwiska mówi słabo po niemiecku i jest dobrym Polakiem i katolikiem, otrzymał także list od landrata pow. witkowskiego z wyraźną instrukcyą, ażeby w interesie pruskiego i niemieckiego vaterlandu oddał swój głos przy wyborach na walmana niemieckiego pana Spohra ze Szczytnik. Rozumie się, iż p. Draheim nie oddał głosu w interesie niemczyzny, lecz swej nieszczęśliwej ojczyzny, i oddał swój głos na Polaka. Na tym podobne listy agitacyjne i portorya wydano w samym pow. witkowskim podobno około 60 marek (rozumie się z funduszu gadzinowego). Nasyłanie takich listów agitacyjnych Polakom i do tego niezależnym dotknąć musi każdego Polaka, gdyż każdemu wiadomo, iż Niemcy pragną wybrać na posłów naszych przeciwników, którzyby kuli wszelkie prawa antipolskie, uchwalali setki milionów na wspomaganie kolonistów ,kupców i rzemieślników, jednem słowem na karmienie jednych kosztem drugich; a przytem dzieciom polskim wszelkiemi siłami utrudniali naukę języka ojczystego. Nie podobno tu wyliczyć wszystkich krzywd!

Jak wiadomo wybrany został poseł p. Leon Grabski większością *10 głosów*. Może niejednemu nasunie się pytanie, zkąd się wzięła tak znaczna większość głosów polskich, jeżeli strona przeciwna nie przebierała w środkach a gazety niemieckie krótko przed wyborami z tryumfem wyliczyły na korzyść niemiecką przewyżkę 3 głosów. To też z radością podnieść należy, że i z polskiej strony nie mniejsze było zainteresowanie się wyborami i na korzyść naszą złożyła się szczególnie ta okoliczność, że w 5 czy 6 okręgach, gdzie była równość głosów polskich i niemieckich, przy losowaniu zawsze polscy walmani wyszli zwycięzko.

Przyjaciel „Pracy“.

Skarlin. (Prusy Zachodnie, 22 listop.)

Nasze gazety wszystkie wciąż nawołują i głoszą znane hasło „Swój do swego“, lecz niestety mało bodaj kto na to zważa, gdyż Polacy po największej części kupują i sprowadzają towary od żydów i Niemców. Już nie dziwić się tym jednostkom, które mało albo wcale gazet nie czytają, ale cóż na to powiedzieć, gdy ci, którzy powinni przykładem dla drugich świecić, głównie zakupują wszelkie swoje potrzeby w handlach żydowskich i niemieckich. chociaż to samo albo i niejedno jeszcze taniej i w lepszym towarze mogą u swego rodaka dostać! Przykładów jest chyba dosyć! Przyjdźmy np. do jakiegobądź miasta i zajrzyjmy do handlów żydowskich i polskich: w pierwszych zobaczymy pełno, a w drugich bardzo mało kupujących; panują tam po części pustki. Cóż to znaczy? O tem wiele by pisać można; lecz słowem można powiedzieć: jeszcze nam brak oświaty. Grzeszymy przytem także nieżyczliwością dla swoich!

Jako muzyk — fachowiec chciałem tu głównie poruszyć zakupno instrumentów muzycznych. Ile to mamy polskich kapel muzycznych, muzyków wszelkiego rodzaju, a spytać się zkąd sprowadzają instrumenta, dokąd posyłają do reparacyi? A no, odpowiedź każdemu bodaj znana: z Markneukirchen! A czemu to nie skądinąd? A, bo tam wszyscy zakupują, bo tam są fabryki, więc powiadają wszyscy, że tam najtaniej i najlepsze są instrumenta. Dlaczego takie twierdzenie? Bo — z Markneukirchen *handlarze* instrumentów muzycznych anonsują po wszystkich polskich gazetach, rozsełają swoje szumne cenniki, a polski ludek kupuje i sprowadza od nich w tej nadzieji, że towar pochodzi wprost z fabryki, gdy tymczasem kupuje tylko od handlarzy i przepłaca towar, bo jeżeli kupuje tanio — to musi być lichy towar — to znana rzecz.

Czy tylko z Markneukirchen lub od innych handlarzy nie Polaków mamy, musimy instrumenta sprowadzać? O nie! Mamy przecież takie fabryki i składy w polskich rękach. Np. w Poznaniu mamy znaną fabrykę instrumentów muzycznych wszelkiego rodzaju p. *F. Niewczyka,* która się cieszy wielkiem powodzeniem. Pan Niewczyk fabrykuje swoje instrumenta i dla wojska rosyjskiego i niemieckiego i dla rozmaitych orkiestr. To już dla nas chyba powinno wystarczyć! Dlaczego tedy mamy Niemcom i żydom nasz ciężko zapracowany grosz pchać dobrowolnie do kieszeni? Czy jeszcze niedosyć nas gnębią i prześladują na każdym kroku i chcą nas wszelkiemi sposobami zmarnować? Kiedyż wreszcie przejrzymy? Czas jest wielki, ażebyśmy się otrząsnęli z naszych starych wad, że tylko u żyda lub Niemca najlepiej kupić. A więc zwracam uwagę Szan. panom kapelmistrzom, muzykom, dyrygentom, organistom i miłośnikom muzyki na fabrykę instrumentów muzycznych p. Niewczyka w Poznaniu. Nie piszę tego z jakiegobądź podchlebstwa dla p. N., lub też dla reklamy, lecz jedynie z doświadczenia, gdyż nie tylko dla siebie potrzebne instrumenta, lecz i dla innych fachowych muzyków sprowadzam zawsze tylko z fabryki p. *Niewczyka.* Jesteśmy też wszyscy zawsze z instrumentów p. N. bardzo zadowoleni, gdyż stosunkowo do instrumentów z Markneukirchen, są fabrykaty p. N. lepsze i tańsze. Tak twierdzą znawcy zawodowi.

Fr. M.

Londyn, 3 grudnia.

Zeszłej niedzieli odbył się w Instytucie polsko-litewskim uroczysty obchód 29go listopada, a zarazem pierwszej rocznicy założenia Biblioteki i Czytelni polskiej na Patriot Sepcare n. 2. (Sambridge Road), London E.

Rano odprawiono Mszę św. w kaplicy Matki Bozkiej tuż obok Instytutu, na której obecną była ludność polska z okolic wschodnich olbrzymiej Metropolii. Wieczorem dzięki staraniom pani Pace urządzony został koncert na którym występowała śpiewaczka koncertowa panna May Colman, (Irlandka,) i pan Lierhammer, dziś już sławny polski artysta, którego narodowe piosnki do łez poruszyły serca zebranych. Uroczystość rozpoczęła się śpiewem „Boże coś polskę“, w którym wszyscy zaintonowali chórem. Później przemawiał p. dr. Adamski z Galicyi na temat powstania listopadowego a zakończył swą pełną werwy i serca mowę, hasłem „Miejmy nadzieję.“ Po odśpiewanej piosnce Szopena „Pierścień“ przez p. Lierhammera zabrała głos prezydentka Instytutu pani Pace (z domu Krzyżanowska), a ponieważ było sporo gości, reporterów angielskich, przemawiała także po angielsku. Treścią przemówienia były zasługi narodu polskiego, oddane chrześciaństwu i Europie, dla której Polska była przedmurzem przed napadami Turków i Tatarów. Dziś jednakże zadaniem naszem jest ciągła gorliwa praca dla kraju, nad samym sobą, nad ludem, wreszcie oczekiwanie sprawiedliwych sądów Boga i nagrody za cierpienia. Słyszeliśmy także mowę litewską wypowiedzianą przez Litwina i deklamacye członków Instytutu. Pianistka pani Felicya Wierzbińska ražnie uprzyjemniła wieczorek piękną grą na fortepianie. Uroczystość zakończyła się śpiewem: „Jeszcze Polska nie zginęła“ poczem wszyscy udali się na górę do pokoi szkólnych, gdzie suto i obficie zastawiona przez panią Pace kolacya była przygotowaną dla gości.

Około godziny 11 wieczorem wszyscy rozeszli się do domów z sercem pełnem nadziei i otuchy, dziękując prezydentce za podjęte około uroczystości trudy.

Jeden z członków Instytutu.



R. Eichstaedt.

Powrót z wojny po roku 1813.

Album „Pracy“.

Drukiem „Pracy“

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

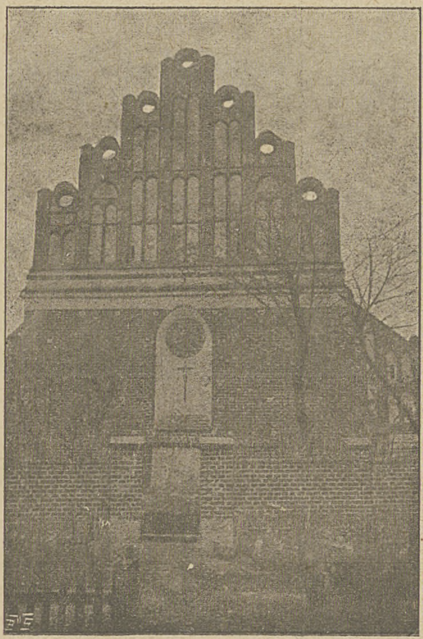
Z ojczystych stron.

Iwanowice*).

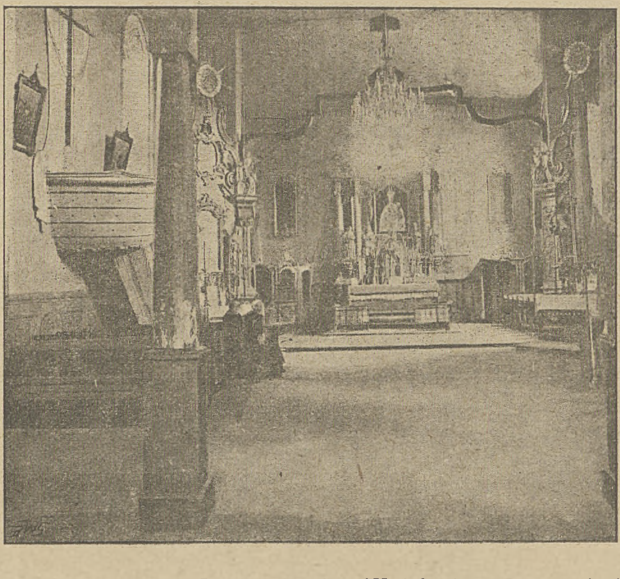
W listopadzie r. b. trzecie stulecie dobiegło końca, jak w miasteczku Iwanowice w Kaliskiem przyszedł na świat Klemens Kordecki. Chrzest odbył się w słynnym starożytnym kościele iwanowickim 16 listopada r. 1603. Badacz przeszłości ś. p. Adam Chodyński, poszukujący w Iwanowicach dowodów rodowych hr. B. z Galicyi, odnalazł w aktach kościelnych metrykę, którą następnie w nr. 2 „Kaliszanina“ z r. 1882 ogłosił. Niema zatem wątpliwości co do daty urodzenia znakomitego męża, którego rodzicami byli mieszczanie iwanowiccy, Marcin i Dorota Kordeccy, przypuszczalnie garncarze.

Nie posiadamy niestety żadnych wiadomości z młodych lat życia jasnogórskiego bohatera. Habit zakonny przywdział dość późno, bo w 30-ym roku, przyjmując wtedy imię Augustyna.

W Iwanowicach żadnych też niema po nim pamiątek, ani rodziny tegoż nazwiska, ani śladu domu, w którym się rodził. Tylko w kościele przy wielkim ołtarzu, z prawej strony od wejścia widzimy marmurową tablicę, staraniem mieszkańców iwanowickich położoną, z następującym napisem: „Pamiątka tymczasowa, poświęcona w r. 1900-ym Augustynowi Kordeckiemu, sławnemu Przeorowi oo. Paulinów, dzielnemu obrońcy Częstochowy, chlubie narodu swego, a w szczególności parafji iwanowickiej, w której się urodził — w Iwanowicach—dn. 16 listopada r. 1603, zmarłemu w Wieruszowie dn. 20 marca r. 1673, pochowanemu w grobach klasztornych na Jasnej Górze. Zdrowaś Marya.“



Widok kościoła parafialnego w Iwanowicach od tyłu.



Wnętrze kościoła w Iwanowicach. W ścianie po prawej stronie wmurowana tablica ku czci o. Augustyna Kordeckiego.

Mieszkańcy Iwanowic zamierzają wznieść okazały pomnik w mieście, które szczyci się urodzeniem znakomitego rodaka.

Ks. Augustyn Kordecki po kilku latach życia zakonnego został przeorem w Opatowie, następnie zaś w Pińczowie. Potem przenosi się do Częstochowy, gdzie go najazd szwedzki na stanowisku przeora oo. Paulinów zastaje.

Z.

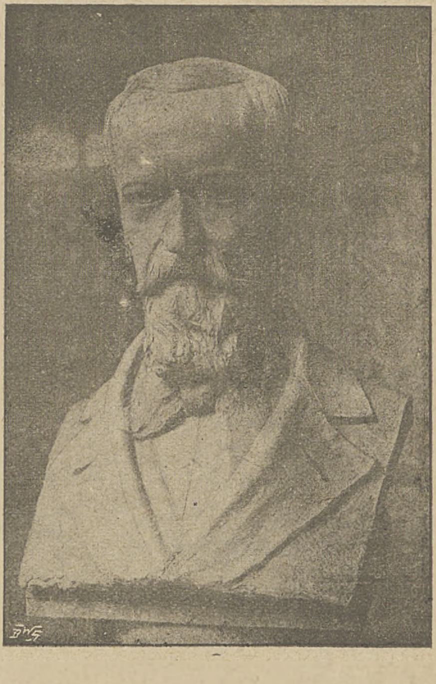
*) W uzupełnieniu szczegółów o ks. Kordeckim, zamieszczonych w 51-ym numerze „Pracy“, podajemy dzisiaj jeszcze kilka ważnych dat z życia jego. — Przyp. Redakcyi.

Pomnik Dygasińskiego.

Warszawiacy pragnąc uczcić w sposób godny pamięć ziomka, znakomitego literata i pedagoga, ś. p. Adolfa Dygasińskiego, wystawili na jego grobie na cmentarzu Powązkowskim pomnik, wykuty cały z marmuru kieleckiego, tylko popiersie znakomitego pisarza, figurę psa „Asa,“ płaskorzeźbę, przedstawiającą scenę z powieści „Gody życia“ i 6 słupów cokółu odlano z bronzu. Pomnik, choć skromny, przedstawia się dobrze, a jest dziełem znanego zaszczytnie artysty - rzeźbiarza, Czesława Makowskiego. Pomnik odsłonięto w wrześniu r. b.

* * *

Ś. p. Adolf Dygasiński (ur. 1839 um. 1902) zasłużył się jako pedagog zwracaniem powszechnej uwagi na metodę poglądową, którą propagował w licznych artykułach i odczytach; wydał także wiele dzieł pedagogicznych. W „Przeglądzie Tygodniowym,“ „Ateneum,“ „Przeglądzie pedagogicznym,“ „Roczniku pedagogicznym,“ „Wędrowcu,“ i innych pismach zamieścił znaczną liczbę prac pedagogicznych, filozoficznych i krytycznych. W ostatnich czasach wy-



Popiersie bronzowe ś. p. Adolfa Dygasińskiego.

stąpił także na polu beletrystycznem, a pierwszy zbiór jego „Nowel“ wyszedł oddzielnie 1884 r. Zalecają się one oryginalnością, przedmiot czerpią z życia zarówno ludzkiego, jak i zwierzęcego i ujawniają paralelę tak odrębnych warunków życia, jak n. p. w nowelach „Wilk, psy i ludzie;“ „Co się dzieje w gniazdach.“ „Za krowę;“ „Jarmark na św. Onufry;“ „Na pańskim dworze;“ „Niezdara;“ Głód i miłość;“ „Kult światła;“ „Filozof i praczka;“ „Psia dola;“ „Na złamanie karku;“ „Gorzałka;“ „Wywczasy młynarskie;“ „Beldonek;“ Listy z Brazylii“ i inne. Prace te zalecają się też wiernem obrazowaniem przyrody.

Jeden z biografów Dygasińskiego słusznie mówi o nim: „wychowaniec chwili, która wysunęła na pierwszy plan „wiedzę niezawisłą,“ kształcił się Dygasiński przeważnie na wzorach „pozytywnych“ i przejął się na wskroś ich metodą i zasadami. Jest on z pomiędzy naszych beletrystów ostatniej epoki najwięcej pozytywistą, wciela najsystematyczniej i najwytrwalej teorye swoich ulubionych mistrzów.... Okrutnie gospodarują „niezmienne prawa“ w jego nowelach, tak okrutnie, jak w przyrodzie. Żaden z jego „bohaterów“ nie umie oprzeć się fatalizmowi metody pozytywnej.“ Z tego też prawdopodobnie powodu Dygasiński był nieporównanym malarzem życia i charakteru istot niższych, zwierząt. Jeszcze w kreśleniu portretów ludzi prostych, wieśniaków, Dygasiński jest mistrzem . Za to, gdy zdarzyło mu się opisywać życie nieco subtelniejsze, natury głębsze, nie umiał dać sobie z niemi rady, nie rozumiał ich prawie.

Życie Dygasińskiego od zarania ciężkim toczyło się torem, co zresztą i w utworach jego nieraz odbijało się niby w zwierciadle. Był zgorzkniałym, nieraz krwią pisał swoje utwory, ale krwią płynącą z serca. Wiele ukochał i to powinno mu wyjednać przebaczenie wśród tych, których od jego poglądów dzieliła cała przepaść.

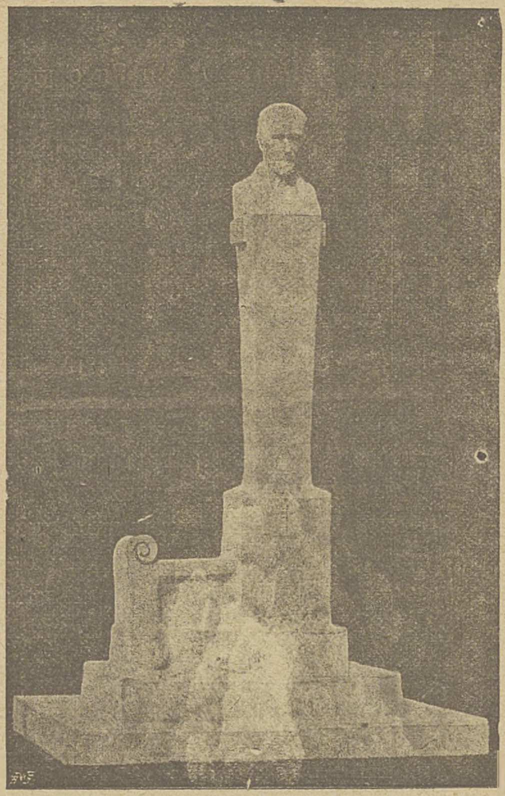
—ski.

Listy z nad jeziór mazurskich.

VII.

(Nad strugą krutyńską. — Ukta. — Filiponi. — Ich geneza i koleje losu. — Ich anarchistyczne tendencye.)

Wędrówki po piękniejszych częściach puszczy, a więc w pobliżu je-



Pomnik ś. p. Adolfa Dygasińskiego.

ziora Dolnego i Śniardwy nastręczają miłośnikowi natury niemało subtelnych uciech duchowych, lecz skąpany w ciszy i samotni tej świątnyi dryad, zatęskni on prędzej czy później za widokiem człowieka. Wtedy z Ruczan należy się puścić traktem na zachód, gdzie witają nas znowu łany, łąki, wsie — jasne oazy zamknięte czarną linią borów.

Gościniec bieży opodal toru kolejowego po lekko sfalowanym terenie



„Gody życia“, fragment z pomnika ś. p. A. Dygasińskiego.

przez wieś rycerską „majątkarza“ do malowniczej osady: Ukty, która nie ma sobie bodaj równej na Mazurach. Na skraju uderza nas hotel, urządzony z pewnym komfortem, do którego okoliczni hreczkosieje zajeżdżają nietylko na piwo i pogawędkę, lecz na umizgi



„As“, fragment z pomnika ś. p. A. Dygasińskiego

do kelnerki i na tańce. Cała grupa zabudowań i ogród przylegający do hotelu noszą cechę zamożności; usłane na zielonej murawie tuż nad strugą płynącą w głębi parowu, mile wpadają w oko, uśmiechają się do przybysza, zapraszając go w swe progi.. Lecz Polak jest tu wyjęty z pod praw; każdy patrzy na niego z podejrzliwością, jak na przybłędę, który nosząc w zanadrzu czarne zamiary, pragnie zaszczepiać ducha wrogiego istniejącemu porządkowi rzeczy, podminowywać potęgę władzców tej ziemi. Badawcze spojrzenia idą wszędzie w ślad za Polakiem z nabożnem życzeniem, aby siły piekielne wyniosły go jaknajprędzej zpośród spokojnych Mazurów, i prusey patryoci robią wszystko co w ich mocy, aby dopomódz siłom piekielnym.

Droga wiedzie przez most i pnie się na wzgórze, na którem rozsypana jest osada z królującym w pośrodku kościołem. Gospodarstwa gburskie ujęte w wianki drzew, grupują się nad gościńcem, gdzie rozsiadł się szereg pokaźnych domków z sklepami piekarzy, rzeźników, szewców i t. d. i tu jak wszędzie z niemieckiemi imionami.

Ukta stanowi najważniejszy punkt obszernego klinu ziemi rolnej, wrzynającego się w puszczę. Ponieważ ziemia tu urodzajna, zamieszkałą jest dość gęsto, a przecina ją szeroka, kryształowa wstęga strugi krytyńskiej (Kruttinenfluss), słynnej z malowniczości. Najpiękniejszy krajobraz spotykamy w miejscu, gdzie rzeka wyłaniając się z jeziora tejże nazwy zanurza się w las. Woda rozlewa się tam szeroko, podmywając drzewa, które zwieszają się nad jej przeczystem zwierciadłem, jakby chciały przejrzeć się w niem i osłonić baldachimem lilie wodne usłane na liściach. Potem koryto się zwęża i rzeka płynie cienistym szpalerem wśród kwiecia leśnego, by wnet rozpatrzeć się w rozłożystym parowie i wreszcie utonąć w jeziorze Ogrodowem (Gartensee).

Ustronia te należą do najpiękniejszych na Mazurach i wogóle w Prusach Wschodnich. Jakoż letnicy z Ruczan zwiedzają brzegi „strugi“ z upodobaniem. Ale nietylko piękności natury przynęcają ich w te strony. Szczególny interes budzą potomkowie t. zw. Filiponów, kolonistów ruskich, którzy zamieszkują kilka okolicznych wsi.

Należą oni do sekty mało-ruskiej Raskolników t. zw. odszczepieńców, którzy w połowie siedemnastego wieku odłączyli się od grecko-katolickiego kościoła. Powyższą nazwę uważając

za uchybiającą, nazywają się sami starowierami.

Sekta ta wzięła swój początek od patryarchy Nikona, który korygował księgi kościelne zepsute za czasów tatarskich i zniósł liturgiczne zwyczaje, opierające się na omyłkach pisarskich lub błędnem pojęciu. Raskolnicy trzymają się jedynie ksiąg napisanych i drukowanych przed erą Nikona i różnią się w kilku punktach od swych dawnych współwyznawców.

Zkąd przyczepiła się do nich nazwa Filiponów nie jest rzeczą stwierdzoną. Jedni przypisują ją apostołowi Filipowi, którego nauki starowiery szczególnie wysoko cenią, inni zaś objaśniają, że nazwę tę przejęto od pewnego grecko - unickiego mnicha, który mylnie zwał wszystkich Raskolników Filiponami, podczas gdy starowiery zamieszkali na mazurskiej ziemi wywodzą się od tych „raskolników" którzy nosili nazwę Feodozian i stali w pewnem przeciwieństwie do sekty Filiponów.

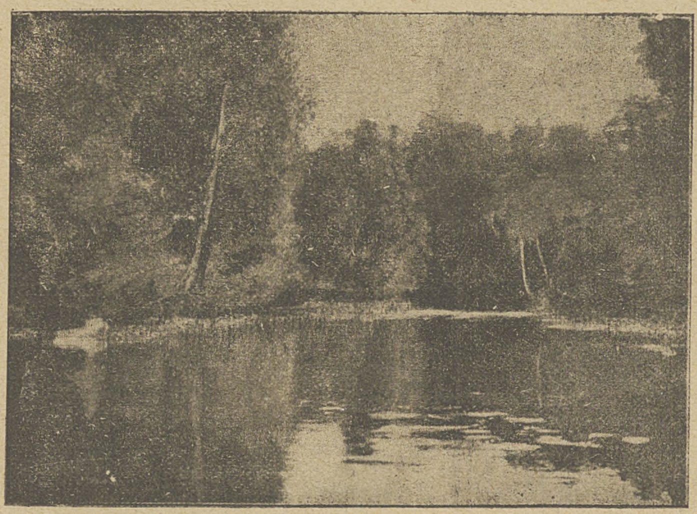
W Rosyi zdradzali dawni Filiponi skłonność do męczeństwa i bywało, że całe rodziny, a nawet setki osób podpalało się w stodołach i ginęło w płomieniach, w mniemaniu, iż przypadnie im w udziale większa chwała wieczysta. Wobec władzy duchownej zarówno jak świeckiej występowali wojowniczo. Kradli, rabowali i dobijali się do więzieni, by oswobadzać swych współwyznawców. Dziką i barbarzyńską nazywa pewien historyk tę sektę w początkach, jej obyczaje dziwaczne i okrutne, ich naukę odstraszającą niemniej jak fanatyczną. Lecz gdy część ich wywędrowała do Polski, obyczaje ich zmieniły się na lepsze, bo pod hasłem polskiem nie byli wystawieni na okrutne prześladowanie, jakie ściągnęli na siebie w Rosyi wskutek udziału swego w powstaniu strelickiem w roku 1682.

Do osiedlenia się w granicach Prus nakłoniła ich chęć rozboju. Obiecywali sobie, że na pograniczu, utrzymując łącznik z starowiercami na polskiem Mazowszu, będą mogli skuteczniej prowadzić swe rzemiosło. Zresztą w wyludnionej przez najazd tatarski ziemi nabyli tanio dobre grunta od Prusaków, którzy spodziewali się pozyskać pracowitych, zręcznych i zamożnych pachciarzy. Pierwotnie też starowiery oddali im ogromne usługi; ziemię świeżo wykarczowaną uprzystępnili dla kultury rolnej ze zdumiewającą szybkością, lecz później nie uprawiali gruntów jak należało, wzbraniali się płacić podatki i wogóle ujawniali swe anarchistyczne skłonności, które stawiły charakterystyczną cechę tej sekty i tkwią w nich głęboko.

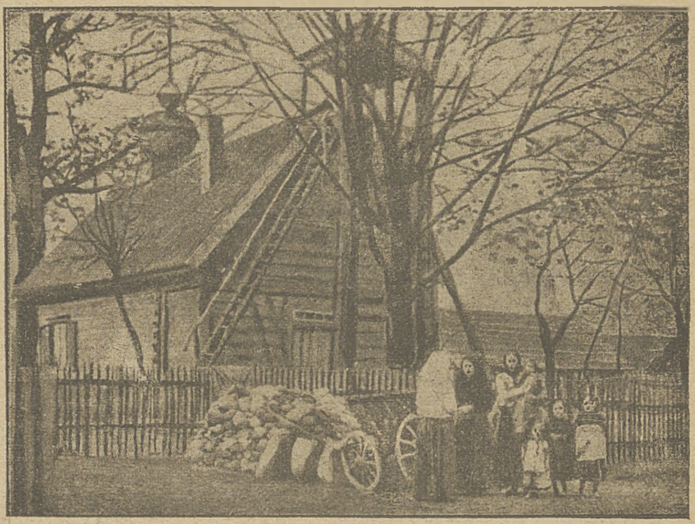
Około roku 1842 liczono na Mazurach 1277 Filiponów, lecz liczba ich znacznie się zmniejszyła przez emigracyą, gdy rząd pruski począł energicznie obstawać, by przystósowali się do przepisów rządowych. Obecnie kolonia ich nie wynosi więcej nad 700 do 800 głów. Mimo to posiadają aż trzy cerkiewki drewniane oraz klasztorek nad jeziorem Dus, który udało mi się zwiedzić bardzo szczegółowo. Dzieląc się z Czytelnikiem wrażeniami, zapoznam go bliżej z tą maleńką, małoznaną kolonią słowiańską, która przetrwała ćwierć wieku pod berłem pruskiem w zaciszu ustronia mazurskiego.

Roman Rola.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Struga Krutyńska.



Cerkiew starowierów pod Uktą.

Noc grudniowa.

Rozsrebrzona w śniegów bieli
Zeszła gwiezdna noc,
By z prawiecznej snuć kądzieli
Djamentowej zwój pościeli
Ziemi chronić moc!

Rozperlona, cicha, senna,
Hen, w bezkresny szlak,
Mleczną drogą szła promienna,
Jak zaświatów toń bezdenna,
Ciszy dając znak.

Ach, w noc taką, w noc grudniową
Ziemi stał się cud!
Rozpaliłeś, o Jehowo!
Wszechmiłości gwiezdne słowo,
By niem zbawić lud!

Betleemskiej gwiazdy drżącej
Magnetyczny prąd
Dał ludzkości konającej,
Tej, z przesytu wrażeń mrącej,
Dreszcz: — Nad sądem sąd!...

Przepotężna w swej prostocie,
Błysła święta skra,
Roztęczona w pragnień krocie,
We wszechdobra drga tęsknocie
I w łzach smutku drga!

W tem miłości gwiezdnem słowie
Tli wieczysty żar;
Tlił on w świata praosnowie,
Tchnął w jałowych dusz pustkowie
Jasnowidzeń dar.

I stygmatem poświęcenia
Ludzki świetląc byt,
Zaświatowe wskazał śnienia
I harmonji wszech istnienia
Kryształowy szczyt.

Jerzy Orwiez.

Nasze illustracye.

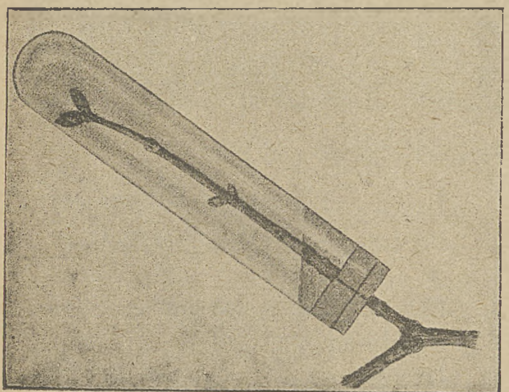
R. Eichstaedt — Powrót z wojny. Rudolf Eichstaedt, malarz historyczny, zjednał sobie sławę obrazami osnutemi na tle dziejów. W ostatnich czasach zaczął też malować obrazy rodzajowe. Do tej właśnie seryi należy „Powrót z wojny“ po roku 1813-ym. Obywatele z nad Renu wracają do swych stron rodzinnych. Gromadka żołnierzy wpada niespodzianie do jednego z domów, gdzie żołnierz chce nastraszyć swoją siostrę, i wita ją wymierzonym do niej karabinem. Przestrach znienacka napadniętej kobiety budzi wśród żołnierzy ogólną wesołość.

—ski.

Sztuczna hodowla kwiatów

za pomocą eteryzacyi.

Wiadomo powszechnie, że rośliny kwiatowe okrywają się kwieciem (kwitną) w pewnym stałym z góry przewidzianym terminie. Wprawdzie termin ten ulega wahaniom, zależnie od warunków klimatycznych, niemniej jednakże czas kwitnienia mniej lub więcej ściśle określić można. Rzecz prosta, że w strefie podzwrotnikowej i wogóle w krajach, gdzie zimy śnieżnej niema, brak kwiatów uczuwać się nie daje tak



Rys. 1. Gałązka wyosobniona z pod wpływu pary eteru.

bardzo, jak to ma miejsce w strefie umiarkowanej, któraby była zupełnie pozbawioną możności napawania się pięknością barw i wonią kwiatów, gdyby nie zaradziła temu pomysłowość ogrodników.

Zdawałoby się na pozór, że ci, którzy są pozbawieni tej przyjemności, mieszkańcy strefy umiarkowanej i więcej ku biegunom ziemskim wysuniętej, będą właśnie pionierami w dziele wypełnienia luki, pobudzając naturę w kierunku wzmożonej wytwórczości kwiatów. Tak jednakże nie jest. Wyprzedzili ich mieszkańcy strefy, gdzie braku kwiatów niema, a przynajmniej tak bardzo, jak nam, mieszkańcom strefy umiarkowanej, uczuwać się nie daje.

Tymi przodownikami w dziale stworzenia sztucznej hodowli kwiatów byli Francuzi, którzy i dziś jeszcze trzymają palmę pierwszeństwa, jakkolwiek dzielnych mają współzawodników w Amerykanach i Niemcach. Zwłasz-

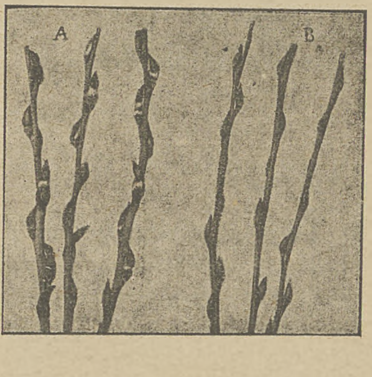


Rys. 2. Krzew bzu po 10 dniach „pędzenia“. Gałązka B. nie eteryzowana.

Rys. 3. Krzew bzu po eteryzacyi przed „pędzeniem“. Pączki kwiatowe na gałązce A. nieeteryzowane, pozostały nietknięte.

cza ogrodnicy niemieccy starają się wypierać francuskich z zajmowanych przez nich placówek, pobijając ich nietylko jakością wyprodukowanych kwiatów, lecz też, co niemniej ważne ceną. Trzeba przytem przyznać, że Niemcy kulturę sztuczną kwiatów prowadzą racyonalnie, uciekając się do coraz nowszych i zgodnych z duchem czasu czynników. Przychodzą im w pomoc badania ścisłe i systematycznie przez ludzi temu oddanych prowadzone. To też wyniki osiągają oni wręcz zdumiewające i z nimi to właśnie chcę zapoznać czytelników.

Profesor Johannsen mając na względzie wzmożenie sztucznej hodowli kwiatów, rozpoczął szereg prób, do których włączył czynniki czysto chemiczne, nie pomijając bynajmniej dotychczasowej hodowli sztucznej kwiatów, a chcąc ją tylko uzupełnić. Dotąd jedynym środkiem pobudzającym sztuczny rozkwit roślin w cieplarniach odpowiednio urządzonych, była umiejętnie stosowana temperatura w atmosferze wilgotnej. Okres trwania rozkwitu, i związany z jego długością wychód paliwa, czyniły cenę sztucznie „pędzonych“ kwiatów zbyt wygórowaną i dla bardzo wielu niedostępną, zwłaszcza w zimowym sezonie. To też próby profesora Johannsena „narkotyzowania“ roślin przed ich „pędzeniem“, a nadewszystko wręcz nieoczekiwane wyniki zostały przyjęte przez ogół zawodowy z pełnem uznaniem, a sposób sam znalazł rychło zastosowanie w hodowli sztucznej kwiatów. Za niemieckimi producentami poszli angielscy i amerykańscy. Tylko Francya, jedna z największych dostarczycielek kwiatów, pochodzących ze sztucznej hodowli, pozostała w tyle, dając się wyprzedzić innym, choć nie na długo. Jednakże i na tem polu wśród ogrodników francuskich, zajmujących się wyłącznie sztuczną hodowlą kwiatów, znalazł się pionier, który w zimie z roku 1901 na 1902 rozpoczął doświadczenia na szeroką skalę. Był nim M. Aymard z Montpellier, specyalista, uprawiający sztuczną hodowlę kwiatów



Rys. 4 Gałązki wierzby: A. eteryzowane po 2 dniach „pędzenia“, B. nieeteryzowane.

na wywóz. Usiłowania jego ogrodnicy przyjęli z uśmiechem politowania, co bynajmniej nie przeszkadzało mu wytrwać na drodze prób, ażeby tem snadniej dorównać sąsiadom, współzawodniczącym o palmę pierwszeństwa.

Metoda profesora Johannsena jest prosta w zasadzie, a polega na tem, iż rośliny, przeznaczone do sztucznej hodowli kwiatów są wystawione na działanie powietrza, przesyconego środkiem narkotyzującym, jak w danym razie eterem. To też metodę tę właściwie nazwać można eteryzacyą roślin. Do swych doświadczeń prof. J. użył bzu, którego gałązki pod wpływem ete-

ryzacyi, pokryły się rychło bujnym kwieciem.

Chcąc wykazać namacalnie zbawienne skutki eteryzacyi roślin, a nadewszystko przekonać niedowiarków, prof. J. przeprowadził doświadczenia, które polegały na tem, iż jedną z gałązek krzewu bzowego (w niesezonie) pozbawionego liści, wyosobnił z pod wpływu pary eteru w ten sposób, że osadził ją w probówce szklanej (rurka walcowata z jednego końca zatopiona, z drugiego otwarta, służąca do prób w pracowni chemicznej), nalawszy uprzednio cokolwiek wody i zatkawszy wylot korkiem kauczukowym z otworem w środku, o średnicy, odpowiadającej średnicy gałązki, a tak rozciętej że można ją w nim osadzić. Po zatkaniu i odpowiedniem obracaniu gałązki, woda pokryje korek i uszczelni go, zamykając dostęp do wnętrza parze eteru. Rysunek 1 daje nam pojęcie wystarczające o wyłączeniu gałązki z pod wpływu eteru.

Profesor J. poddał następnie krzew bzowy działaniu powietrza, przesyconego parą eteru, albo chloroformu przez przeciąg 48 godzin. Dokonywał tego w odpowiedniem pomieszczeniu, zachowując przytem odpowiedni stosunek pomiędzy rozpylonym eterem (lub chloroformem) a powietrzem otaczającem. Stosunek ten wynosił 35—40 gramów (od 3 do 5 łutów) na hektolitr powietrza (około 100 kwart), zawartego w cieplarni, przeznaczonej na doświadczenia. Wyniki tych doświadczeń najlepiej objaśniają załączone ryciny. Na jednej z nich (rys. 3) widzimy krzew po eteryzacyi: gałązki jego są pokryte pączkami i świadczą o widocznem wzbudzeniu życia w roślinie; wyjątek stanowi gałązka oznaczona literą A, na której pączkowanie nie da się zauważyć, wogóle pozostaje ona bez zmiany. Jest to właśnie gałązka, którą wyosobniono z pod wpływu eteru.

Po eteryzacyi krzew bzu pozostawiono w cieplarni o podwyższonej ciepłocie przez ciąg 8 dni, i krzew okrył się kwieciem a było to w listopadzie Rysunek 2-gi przedstawia właśnie taki krzew bzu, po eteryzacyi pozostawiony w cieplarni na przeciąg 10-ciu dni. Gałązki jego są gęsto pokryte liśćiami, na jednej z nich widzimy przepyszne kiście kwiatów silnie rozwiniętych. Na prawo odrzyna się gałązka, oznaczona lterą B, zupełnie pozbawiona liścia i nie zdradzająca żadnym prawie objawem życia. Jest to gałązka, którą wyosobniono podczas eteryzacyi krzewu bzowego. Pozostaje ona jakby nietknkięta, świadcząc wymownie o wpływie eteryzacyi.

Podobne doświadczenia zostały wykonane w sposób znacznie uproszczony i dostępny nawet dla zwyklego amatora kwiatów pokojowych, a możliwy do zastosowania w każdem nawet mieszkaniu, z gałązkami wierzby. Tym razem posiłkowano się kloszem szklanym, a źródłem eteryzującem była gąbka umieszczona pod kloszem. Gałązki wierzby, poddane poprzedniej eteryzacyi, już po dwóch dniach pozostawione w cieplarni pokryły się dobrze wszystkim znanymi kotkami; niepoddane eteryzacyi nie zdradziły najmniejszej chęci do wzbudzania w sobie życia. Na załączonej rycinie pod literą A widzimy gałązki wierzby, pokryte „kotkami“, z prawej zaś, pod literą B, gałązki, które nie były poddane eteryzacyi i pozostały po dawnemu.

Inną seryę doświadczeń stanowiła eteryzacya za pośrednictwem roztworu wodnego, biorąc przytem po 8 do 9 gramów (2—3 łutów) eteru na litr wody (kwartę) i wstawiając w nią doniczki z roślinami przeznaczonemi do pędzenia.

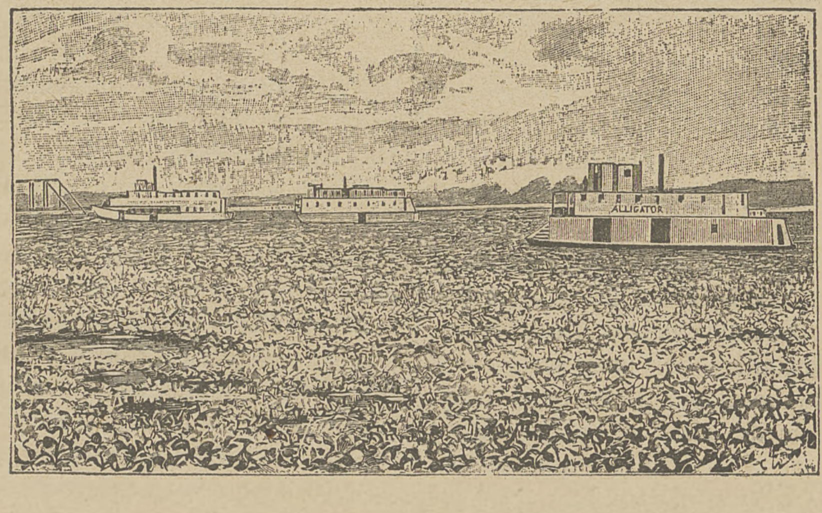
Cały szereg doświadczeń, których próbę mamy na przytoczonych przykładach, stwierdził tylko doniosłość eteryzacyi roślin. Sama metoda nie usuwa bynajmniej dotychczasowego systemu „pędzenia“ kwiatów, a tylko go uzupełnia, pozwalając na zaoszczędzenie pracy i kapitału, a przez to samo obniżając cenę towaru, przy lepszej i zupełniejszej wydajności pracy.

To, co stanowiło wadę dotychczasowego „pędzenia“ i sztucznej hodowli kwiatów, wyrażającą się niezupełnym rozkwitem, lub przedwczesnym opadem, wreszcie zbyt dlugim okresem trwania samego „pędzenia“, — przez zastosowanie eteryzacyi zostało usunięte. Nadto kwiaty po eteryzacyi rozwijają się szybciej i pełniej, kwiat jest piękniejszy i trwalszy. Wszystko to razem wzięte, rokuje stałe powodzenie systemowi eteryzacyi. A jakkolwiek palma pierwszeństwa tym razem przypadła Niemcowi, niemniej jednakże na pociechę Francuzów dodać należy, że rychło, dzięki wytrwałej pracy Aymarda, dorównają współzawodnikom, odzyskując stanowisko przodowania w sztucznej hodowli kwiatów.

B. G.

Blokada kwiatowa.

Hyacynty wodne (Hiacinthus occidentalis) w niektórych rzekach zwłaszcza w krajach podzwrotnikowych rozrastają się tak obficie, iż pokrywają ogromne przestrzenie i tamują żeglugę. Żaden okręt nie może przełamać tej „kwiatowej blokady“. Obecnie wszystkie rzeki, wpadające do zatoki Meksykańskiej, a nawet część zatoki



Hyacenty wodne, tamujące żeglugę na wodach Meksykańskich.

w wybrzeżu zamieniły się w istne błonia kwieciste, pokrywające toń wodną. Miasto Franklin odcięte jest zupełnie od morza . Parowce bezskutecznie próbują przerwać dziwną tę blokadę. Już podczas ostatniej sesyi kongres Stanów Zjednoczonych wyznaczył pewną sumę dla walki z temi roślinami wodnemi, przeszkadzającemi żegludze na rzekach południowych, ale dotychczas środki zaradcze niewiele pomogły.

U.

Wspomnienia
z niewoli moskiewskiej
r. 1863-go.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszego dnia naszej podróży, 28. kwietnia 1864, stanęliśmy na nocleg w Białymstoku (mazowieckim). Oficer główno-dowodzący naszą eskortą, zezwolił, aby czternastu z nas zakwaterowano do proboszcza; wybrano na to „porządniejszych.“ Tak to

nawet w niewoli równość między ludźmi zawsze zostaje mrzonką. Reszta więźniów musiała się przespać w stodole. Obywatele z okolicy dowiedziawszy się, że mamy nocować w Białymstoku, pozjeżdzali się, żeby nas odwiedzić, i przepędziliśmy przyjemnie wieczór w ich towarzystwie.

Nazajutrz przeszliśmy Pilicę. Pokazywano nam na niej most, który na początku 1863 r., powstańcy byli zerwali dla przeszkodzenia komunikacji między Radomiem a Warszawą. Moskale z tego powodu dłuższy czas znajdowali się w dosyć krytycznem położeniu, i nie mogli dostatecznie wspierać korpusów swoich, operujących przeciw Langiewiczowi.

Drugi nocleg wypadł nam w Tarczynie. Nie było tu większego budynku, któryby mógł pomieścić nas wszystkich, rozdzielono nas zatem na trzy partje. Mnie wraz z czterdziestu kilkoma towarzyszami przeznaczono do zabudowania szkolnego, które dla nas umyślnie wyprzątnięto. Wchodząc tamże ujrzałem się w wielkiej sali, której okno jedno było zupełnie otwarte. Obejrzałem się do koła i spostrzegłem, że straż nie weszła za nami do pokoju. Przystępuję do okna; widzę, że wychodzi na ogród, całkiem niestety pozbawiony drzew, ale także niestrzeżony przez Moskali. Nie namyślając się długo, wyskoczyłem przez okno i już chciałem biedz dalej, upojony nadzieją wolności, gdy w tem z obu stron domu wybiegli żołnierze. *„Da czto ty zdies diełajesz?“* krzyczą, pędząc ku mnie. „Czapka mi upadła przez okno i zlazłem po nią,“ odpowiedziałem nie tracąc na szczęście przytomności. *„Nie łzia!“* i jak niepyszny, musiałem wleźć nazad do sali, i jeszcze cieszyć się tem, że sołdaty uwierzyli mojemu wybiegowi i że który nie strzelił do mnie. Tak to niefortunnie skończyła się zamierzona moja ucieczka.

Przybyliśmy nakoniec 30. kwietnia do Warszawy. Im bliżej miasta, tem piękniejsze dworki pokazywały nam się po obu stronach drogi. Mnóstwo tartaków witało nas swoim łoskotem; jak powiadają, jest ich 99, i więcej ich stawiać nie można, bo setny poprzednikom swoim jakieś nieszczęście przynosi. Stanęliśmy u rogatki Jerozolimskiej, składającej się z dwóch ogromnych słupów murowanych, niby baszt jakich, połączonych belkiem poprzecznym. Czekaliśmy cały kwadrans, nim nam otworzono. Jakiś żołnierz zbliżył się do komendanta naszej eskorty i wręczył mu papier. Przeczytawszy go, oficer zakomenderował: w lewo! Zrozumieliśmy, że nie będą nas prowadzić przez miasto, ale naokoło, wzdłuż wałów do cytadeli. Z początku zdawało nam się, że nikt w Warszawie wiedzieć nie będzie o naszem przybyciu, gdy idąc pod wałami, ujrzeliśmy biegnące niemi trzy panie, z ołówkami i papierami w ręku. Poczciwe Polki wszędzie są pierwsze, gdzie idzie o pomoc dla nieszczęśliwych ziomków. Towarzyszące nam ciągle, wypytywały się troskliwie, czyli kto z nas nie ma rodziców, krewnych lub znajomych w stolicy, czy nie ma jakiej wiadomości do udzielenia, albo czy czego nie potrzebuje. Mnóstwo naszych tym sposobem dawało znać o swojem przybyciu, a opiekunki nasze spisywały czem prędzej odebrane polecenia i pobiegły z niemi do miasta. Na chlubę Moskali muszę tu dodać, że nie nagabywali wcale tych zacnych kobiet. Szliśmy półtora godziny, nimeśmy stanęli przed bramą cytadeli, gdzie nas jeszcze raz przeliczono; poczem weszliśmy do środka. Na pierwszym wstępie spostrzegłem tu kupę ludzi, którzy zdawali się nas oczekiwać. Dziwne ich stroje i powierzchowność obrzydliwa, uderzyły mię i zdziwiły. Twarze wychudłe, napiętnowane podłością, przytem połatane szynele i czapki, dawno już przez sałdatów znoszone; brak zupełny obuwia, kobiety i dzieci w łachmanach, oto widok pięknego tego towarzystwa. Dowiedziałem się natychmiast, że to szpiegi, którym tu Moskwa dała przytułek i utrzymanie, żeby ich zasłonić przed zemstą narodu. Zgraja ta łotrowska, tak pięknie przez protektorów swoich karmiona i odziewana, przywitała nas wściekłymi okrzykami. Pokazywali nam pięście i wołali: Buntowszczyki! Wy chcecie wojować z moskiewskim carem! Wieszać was, wieszać! Ciała wasze psy jeść będą; ze skóry was obdzierać będziemy. Nie zwracaliśmy na nich wcale uwagi, co ich bardziej jeszcze rozwściekląło.

Wewnętrzna postać cytadeli nie odpowiadała wcale wyobrażeniu, jakie sobie zrobiłem o okropnościach, które mnie tam przywitać miały. Wygląda ona niby schludne miasteczko, z pięknemi gmachami; ulice pozasadzane drzewami, ale wśród tego wszystkiego nie widać nic, prócz sałdatów i mnóstwa dział i moździerzy ciężkiego wagomiaru; a wszystkie otwarte paszcze swoje wyszczerzyły ku miastu!

Ustawiono nas na głównym placu, gdzie czekaliśmy całą godzinę, nim przybył jakiś major i odebrał raport i papiery od komendanta eskorty. Odczytał następnie nasze nazwiska i rozdzielił nas na kategorje.

Czternastu jeńców, których procesa jeszcze nie były ukończone, odesłano do jakiegoś gmachu, zwanego „Stary magazyn.“ Dziewięciu, między którymi i ja byłem, przeznaczono na odwach wojskowy, a wszystkich pozostałych wyprawiono do Warszawy, na Pawią ulicę, zkąd za kilka dni wywieziono ich w głąb Moskwy.

Tą razą powziąłem nieco lepsze wyobrażenie o odwachach moskiewskich niż w Staszowie. Ściany wielkiej sali, w której nas umieszczono były wybielone, podłoga wymyta, a wśród mnóstwa sałdatów, którzy tu byli aresztowani, kilku miało nawet czystą bieliznę na sobie.

Kordygardy moskiewskie zawsze są przepełnione, od czasu zniesienia kar cielesnych. Dzieją się pod tym względem ogromne nadużycia w armii. Widziałem sałdatów, którzy siedzieli 8, 10 miesięcy, a nawet rok cały za to, że się kiedyś tam upili. Nie była to kara wyznaczona za pijaństwo, ale proste zapomnienie. Oficer posyła pijanicę na odwach, ten wyśpi się, a rozpatrzywszy się między kolegami, widzi, że cały dzień grają w karty, piją wódkę i nie robią służby. Życie takie wydaje mu się bardzo przyjemnem, nie zgłasza się wcale z prośbą o uwolnienie i zostaje póty w areszcie, póki go sobie w końcu nie przypomni który z przełożonych. Wychodzi nakoniec mniej trzeźwy, aniżeli przyszedł, bez pieniędzy, bez munduru i bielizny, i stara się czemprędzej znowu coś zbroić, by się dostać do więzienia.

Jak w Staszowie, tak też i tu musiałem sobie kupić od sałdatów wygodniejsze miejsce na norach t. j. na pryczy. Nory te były tak poustawiane, że na środku sali tworzyły niby stół ogromny, naokoło którego roiło się żołdactwo. Oprócz cebrzyka z wodą i ogromnej blaszanej warzochy, zastępującej miejsce kubka, nie było innych sprzętów.

Nie widziałem właściwych więzień w cytadeli, dowiedziałem się tylko od podoficera moskiewskiego Polaka, że dzielą się one na cztery kategorje. Pierwsza z nich mieści jeńców, którzy nie mieli większego znaczenia w wojsku narodowem, i zostali ujęci na polu bitwy lub schwytani po drodze. Stosownie do obszerności sali, bywa ich po 40—100 razem; śpią na słomie i mają wikt taki, jaki widziałem w Radomiu. Wolno sobie wprawdzie za własne pieniądze kazać przynosić jedzenie z traktyjerni, ale to w cytadeli bardzo wiele kosztuje. Druga kategorja obejmuje takich jeńców, na których Moskale mają podejrzenie, że w powstaniu odgrywali nieco znaczniejszą rolę, i takich, którzy się sami do tego przyznali. Ci otrzymują lepszą pościel, porządniejszy wikt, i ostrzejsze wyroki. Najgorsza ma być trzecia kategorja, w której więźniowie trzymani są pojedyńczo, albo najwięcej

po dwóch razem. Jestto jeśli się nie mylę, 13ty pawilon. Tu przywożą prawie zawsze bardzo tajemniczo, ludzi podejrzanych o pełnienie wyższych funkcji w organizacji narodowej, „zaczynszczyków.“ Kto się przyznaje, dostaje wikt wytworny, nawet butelkę wina na obiad, a nakoniec bywa powieszony lub rozstrzelany. Upartych zaś kują w kajdany, na całą dobę dają im kawałek chleba razowego i kwartę wody, spać każą na gołych deskach. Namęczywszy więźnia jakiś czas tym sposobem, wywlekają go w nocy do protokolu, nie dając mu nawet czasu ubrać się. Gdy i teraz jeszcze przyznać się nie chce, powtarzają to kilka razy na noc. Jakie zaś jest zresztą postępowanie przy śledztwie, o tem mało kto może opowiadać, bo z tego pawilonu nie wiem czy dziesiąty z życiem wychodzi. W czwartym pawilonie znajdują się same kobiety. O postępowaniu z temi ostatniemi wolę zamilczeć. Są rzeczy, do tego stopnia przejmujące zgrozą, że język wzdryga się, je wypowiedzieć.

Więźniów, którzy mają opuścić cytadelę, odsyłają zwykle na odwach, gdzie się właśnie znajdowałem wraz z ośmioma innymi. Pięciu z pomiędzy nich okuto w kajdany; byli to powstańcy skazani w Sybir. Trzej inni, flisacy z Galicji, zaopatrzeni najlegalniejszymi w świecie paszportami, w powrocie z Gdańska byli aresztowani w okolicy Radomia, gdzie po długiem śledztwie przekonano się w końcu o zupełnej ich niewinności. Oświadczono im atoli, że nie mogą wracać do domu bez straży, albowiem rząd carski obawia się, by ich po drodze nie pochwytały bandy powstańcze i nie zmusiły do służby wojskowej. Ojcowska tedy pieczołowitość rządu moskiewskiego wyprawiła ich najprzód do Warszawy, zkąd mieli jechać koleją żelazną aż do granicy.

(Dokończenie nastąpi.)

Na tej miedzy, nad potokiem....

Na tej miedzy, nad potokiem,
Co pod las się zgina,
Rozwinęła drżące listki
Srebrna osiczyna,
Szepce smutny pacierz trwogi,
Jakby na pogrzebie,
Chociaż w wiosce cicho — jasno —
Chmur nie ma na niebie,

— Czegóż ty się siostro boisz?
Pyta ją dąb z lasu,
Aby ciebie ludzie ścięli
Nie trwóż się zawczasu;
Jeszcze będziesz rosła długo,
Rosą się poiła —
I listeczki swoje słońcem
Będziesz wciąż srebrzyła.

— Nie boję się, by mię ścięli,
Burzy się nie boję,
Lecz na miedzy, na sierocej
Wciąż smutniejsza stoję.
Bo sierocie kto zaorze,
Oj! to nie głęboko...
A sierocie kto zasieje,
Nie rzuci szeroko...
A że krzywda polem chodzi
Skargą w niebo bije,
Na tej miedzy, na sierocej,
Ja — wciąż łzami żyję!

Jadwiga S.

Pod płaszczem Madonny.

(Nokturn grudniowy.)

Noc spadła ponura. Z poza węgła wyszły mrozy, zawyła wichura: lodowata siejba grozy męczy, dręczy... Wśród bezdomnych o północy budzi wielki płacz sierocy, gorzej trwoży... Skowyt zawieruchy z pod łachmanów z resztką ciepła ostatek otuchy — strzępki wiary, co nie skrzepła, kradnie zdradnie! Wśród bezdomnych o północy budzi wielki płacz sierocy i strach we łzach...

...Cyt, cyt, biedacy! Wichrów groźne granie nie jest zagłady pobudką... w ciemnej godzinie północnej, gdy chmurne kolosy, w zapowiciu brudnej gazy, biją w niebiosy — gdzie lampy miesięcznej blaski ćmią dziwne obsłonki z żółtawej koronki...

Cyt, cyt, biedacy... Rzućcie szał trwogi śmiertelnej — w ciemnej godzinie północnej — gdy księżyc zgaśnie w toni chmur... Cyt, cyt...

Wichrów granie nie jest zagłady pobudką — acz strachem mrozi, razi słuch i wzruszą głazy, jak dzikich olbrzymów wrzaski — potępieńców łkanie, czarci chór piekielny...

...Święty Boże! Święty Mocny! łaski... łaski... łaski, Święty — Nieśmiertelny!

Jakże dobroć Twa jest wielką — Święty Mocny!

...Cyt, cyt, biedacy, wichrów groźne granie nie jest zagłady pobudką — ale w godzinie północnej ukojenie światu wieści... Cyt, z nieba spada cichutko — niby puch — z białą śniegu chmurą, w cudnej postaci niewieściej, jakiś duch, spowity w śniegu o kiść miękką...

Zmieszał się z wichurą — i utonął w łez toni na ludzkiej nędzy padole — ten duch w postaci niewieściej...

Witaj, strapionych Pocieszycielko!

Przybywaj, Panienko... Bądź pozdrowioną, Pocieszycielko tej nieszczęśliwych rzeszy, która w wiecznem życia kole ogniki błędne goni, wciąż szukając Boga... Więc Ty rozbitków łódź ocal z topieli, Gwiazdo morza i ziemi... Najświętsza Panienko! czeka Cię świat, co grzeszy — ku wieczności idąc przez bezdroże... bo nie zna prostych dróg... i nie wie — kędy jest Prawda wszelka...

Więc ty mu wskaż, Dobra Pani w śnieżnej bieli — kędy jest Bóg!

Noc spadła ponura; z poza węgła wyszły mrozy i wyje wichura... Lodowata siejba grozy męczy... dręczy... wśród bezdomnych o północy budzi wielki płacz sierocy i strach we łzach...

...Cyt, cyt, biedacy! Nie jest zagłady pobudką wichrów granie groźne w ciemnej godzinie północnej: lecz ukojenie wam wieści... Cyt, cyt, biedacy... Oto spadł z nieba cichutko—niby puch — z chmurą śniegu miękką, w jasnej postaci niewieściej — biały duch: Strapionych Pocieszycielka...

I w płaszcz Swój cudowny, w płaszcz błękitny, w Swój gwiazdzisty płaszcz... — niby matula — dzieci otula... spłakanych przyciska do łona... łzy wynagradza, gorycz osładza... w opiekuńcze kryjąc ramiona — pod płaszcz Swój czarowny, pod gwiaździsty płaszcz...

I nieszczęśliwych rzeszy, która w wiecznem życia kole ogniki błędne goni wśród losów zawiei... nie mogąc dojrzeć przez łzy — zkąd słońce przyświeca Wiary, Miłości, Nadziei... i grzeszy, w złoczyństwa grzęznąc toni bez końca — bo nie zna jasnych dróg...

...Tej nieszczęśliwych rzeszy wskaże Ona — zbłąkanych Przewodnica: gdzie szukać prawdy słońca... Tej nieszczęśliwych rzeszy — cisnąc spłakanych do łona, pod płaszcz Swój gwiaździsty — wskaże Madonna Krzyż — czarny krzyż drewniany, mocniejszy, niźli spiż... a na nim Syna Swego ideał przeczysty...

...Tej nieszczęśliwych rzeszy wskaże Ona — strapionych Pocieszycielka, zbłąkanych Przewodnica: kędy jest Pan nad pany... kędy jest Bóg!

Kazimierz Kalinowski.

(*„K. W.“*)

Sewera.

(Nowelka.)

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Tymczasem odebrałem długi list od opiekuna. Niestety, po śmierci dziadka miałem jeszcze opiekuna! władza jego jednak tylka parę miesięcy trwać mogła, bo dochodziłem pełnoletności. Opiekun wzywał mnie do siebie; doszła go niewiedzieć zkąd wiadomość o tem, że kochaliśmy się z Seweryną. I na ten temat musiałem wysłuchać rzeczy, które zwykle zgryźliwa starość wypowiada bujnej młodości... a wypowiada bez żadnego skutku.

Przedstawiał mi kobiety, występujące w teatrze, jako rodzaj zdradliwych syren, czyhających na życie i mienie niedoświadczonych, a najgorszą ze wszystkich miała być Sewera. Wszystko w niej było falszywe, począwszy od serca, od dziecinnego pozoru, a skończywszy na tych ślicznych warkoczach, które miały być fryzyerskim wyrobem. Wiedziała ona dobrze, iż byłem sierotą; pewna znacznego majątku, postanowiła uczynić ze mnie swoją ofiarę. Dlatego to zamieszkała willę obok tej, gdzie się znajdowałem, w miejscowości leczniczej, i zastawiała na mnie swoje zdradzieckie sidla.

Opiekun mówił mi to wszystko i wiele innych rzeczy. Cóż mi to znaczyło? nie słuchałem go nawet, a w miarę, jak opisywał fałszywe wdzięki Sewery, ona stawała mi przed oczyma w całej potędze swej cudnej urody, a jej wielkie szare źrenice, pełne złotych odblasków, śmiały się zwycięzko z nauk starego zrzędy.

Nie próbowałem jej bronić. Na co? To było zupełnie zbyteczne. Pozwoliłem wygadać się opiekunowi, i czemprędzej powróciłem do Krakowa.

Nie spodziewała się mnie; gdym wszedł do jej mieszkania, wydała okrzyk radosnego zdziwienia, podała mi obie rączki i patrzała w oczy, jakby w nich wyczytać chciała wszystko, co zaszło wkoło mnie i we mnie, od czasu naszego rozstania. I widać była zadowoloną z tego, co w nich dostrzegła, bo rozśmiała się tym łaskotliwym uśmiechem, który stanowił jeden z jej uroków, a który zwracała do mnie jedynie.

Potem, ze spojrzeniem zgubionem w mojem, z zaplecionemi dłońmi, przechylając figlarnie swą maleńką główkę:

— I cóż? nagadano ci o mnie Bóg wie co! Czy nie tak?

Zkąd ona o tem wiedzieć mogła? Pytanie to odmalowało się snadź bardzo wyraźnie na mojej twarzy, bo zawołała:

— A widzisz, ja wiem co o mnie myślą ci, dla których nie mam ani uśmiechu, ani spojrzenia. Alboż oni mają pajęcie, jak ja ciebie kocham?

Tak, oni o tem pojęcia mieć nie mogli. Myślałem to właśnie, spoglądając na jej cudne warkocze, spływające jak czarne wstęgi na ramiona.

Sewera jednak musiała być ciekawą, co o niej mówiono, bo po chwili zaczęła znowu.

— Opiekun powiedział ci pewno, że.. że..

I czekała, aż ja dokończę jej zaczęty frazes.

Ale ja tego nie uczyniłem; pocóż jej miałem powtarzać, że ją miano za wietrznicę, i stokroć gorzej jeszcze, „że ostrzegano mnie przeciw jej zdradzie, skoro ufność moja została bezgraniczną.“ Pod blaskiem jej spojrzenia zapomniałem nawet, że czyniono jej zarzut jaki.

I było mi znowu dobrze, szczęśliwie, rozkosznie. Codzień przychodziłem do Sewery, codzień przyjmowała mnie z tym samym wykrzyknikiem radosnym: „Ach!“ — który mieścił całe światy zachwytów, i obrzucała spojrzeniem swych ślicznych oczu, w których znów łatwo można było wyczytać całą miłość.

Przychodziłem zwykle w poobiednich godzinach, rano bowiem była zawsze zajętą zwłaszcza teraz, gdy przygotowywała się nowa sztuka. W tej sztuce miała Sewera główną rolę; nie dziw, że zajmowały ją przygotowywania, że myślała o niej ciągle. Nieraz, kiedy rozmawialiśmy, siedząc przy sobie, zatrzymywała się nagle na jakiemś słowie, intonacyi głosu, i tak pozostawała chwilę z oczyma nieruchomemi. Widziałem dobrze, iż w tej chwili była daleko odemnie i to sprawiało mi niezmierną przykrość.

— O czem myślisz? — pytałem wzburzony.

Śmiała się cała zarumieniona.

— Widzisz... — szeptała — widzisz... ta nowa rola...

Ta nowa rola była teraz jej główną myślą. A ja?...

Próbowałem robić jej wymówki, ale ona nie chciała mnie słuchać.

— Zobaczysz, jak ja grać będę! — wołała z błyskawicami w oczach.

Musiałem być cierpliwy. Nie, to nie była cierpliwość, ja drżałem razem z nią, gorączkowo wyczekując chwili jej występu i nie wątpiąc, że to będzie chwila tryumfu. Prosiłem, by mnie wzięła na próbę. Nie chciała. Pragnęła okazać mi się niespodzianie w całym blasku, zachwycić, oszołomić, oczarować, jakby tego wszystkiego nie uczyniła dotąd.

Nadszedł wreszcie dzień wielki. Pokazała mi się na chwilę.

— Do widzenia w teatrze — szepnęła — zobaczysz, jak ja grać będę!

Twarz jej była blada, na policzkach tylko świecił rumieniec, oczy błyszczały, usta były spieczone. Drobne dłonie pałały i drżały od przyspieszonego tętna.

Do tej pory w teatrze bywałem bardzo rzadko. Surowe wychowanie, nauka, nie pozwalały na podobne rozrywki; zresztą nie miałem nawet pokusy do zwalczenia, gdyż prowincyonalne miasto nie posiadało widowisk.

Teatr więc zachował dla mnie urok pierwotny, urok, jakim działa na dzieci, lub na tych, co nie przywykli do światła kinkietów, biorą niebieskie płótna za lazur nieba, pomalowany papier za lasy i zamki, bielidło i róż za dobrą monetę, a starą figurantkę za prawdziwą księżniczkę.

Jeden z pierwszych byłem w teatrze, a bilet zdaje mi się kupiłem w samej chwili otwarcia kasy, przed którą czekałem dobre pół godziny, lękając się, by miejsca dla mnie nie zabrakło.

Teatr zapełniał się powoli, a ja dziwiłem się, że lud niecierpliwy nie wyprzedzał tłumnie chwili podniesienia kurtyny.

Czytałem na afiszu imię Sewery i miałem ochotę oklaskiwać je zawczasu. Zdawało mi się, że jestem najważniejszą osobą wśród zgromadzenia, ja, którego kochała ona; gotowałem się brać udział w jej tryumfie; wpadłem w stan takiego upojenia, iż gotów byłem uściskać moich sąsiadów, bardzo poważnego łysego jegomościa i jakiegoś młodzieńca ze szkiełkiem w oku. A tymczasem siedziałem nieruchomy, jak posąg; krew uderzała mi do głowy falą gorącą, a pomimo to, co chwila przebiegały mnie zimne dreszcze. Minuty były dla mnie wiekami. Pragnąłem ujrzeć ją z całą niecierpliwością kochanka i zdawało mi się, że ta chwila nie nadejdzie nigdy.

Siedziałem w pierwszym rzędzie, słyszałem więc wyraźnie gwary różne poza kurtyną, biegania drobnych stopek i chód ciężki, głosy różne i śmiechy; a przez okrągłe dziury, skryte dyskretnie w malowanych fałdach kurtyny, dojrzałem parę razy oko ciekawe, spoglądające na publiczność.

Wreszcie członkowie orkiestry zasiedli na swych miejscach, dało się słyszeć krótkie strojenie instrumentów i odezwały się skoczne nuty taneczne. Potem była chwila ciszy i niespodzianie kiedy już znużony oczekiwaniem wlepiłem błędne oczy w kurtynę, podniosła się ona, odsłaniając krajobraz, który w tej chwili wydał mi się istnem czaro-

dziejstwem. Były to góry, porosłe drzewami, pełne tajemniczych głębi, góry, które przypominały mi miejsca, gdziem ujrzał Sewerę po raz pierwszy.

Ta chwila stanęła mi w oczach; widziałem znów szereg willi, werandy, balkon jej i kwiaty ogrodów i te czerwone pelargonie, które jak barwne motyle rysowały się na jej błękitnej sukience. Co działo się na scenie, nie uważałem wcale, cały zatopiony we wspomnieniach moich.

Nagle o mało nie zerwałem się z krzesła.... usłyszałem śmiech jej wyzywający, łaskotliwy, i z tym śmiechem wybiegła z za gęstwin drzew, ubrana w taką samą niebieską sukienkę i w pasterski kapelusz z pod którego zwieszały się do kolan dwa ciemne, lśniące warkocze.

Tylko teraz ona nie patrzała na mnie, oczy jej zwrócone były na kogoś, z kim rozmawiała z ożywieniem, sobie właściwem. Tak jest, był to tenże sam szczebiot, który znałem, ten rozkoszny szczebiot, pełen urwanych zdań, niedopowiedzianych słówek, zachwycających uśmiechów, którym towarzyszyły spojrzenia słoneczne, miękkie, dziecięce, pełne wyzywań i obietnic, spojrzenia, które odbierały rozum, których potęgi doświadczyłem. Więc te spojrzenia nie były tylko dla mnie, dla mnie jednego?! Spoglądała w tenże sam sposób na jakiegoś wysokiego bruneta ze strzelbą w ręku, jak spoglądała na mnie, tak samo podnosiła na niego źrenice, tak samo topiła wzrok w jego oczach i zdawała się zależeć od nich duszą i sercem!

Zamknąłem oczy. Nie mogłem na to patrzeć. Cóż ztąd? Słyszałem jej głos giętki, aksamitny, i ten głos powtarzał wyrazy miłosne, te same co mnie, tak samo jak mnie. Aż wreszcie wybuchnęła tym łaskotliwym śmiechem, który wyrywał mi serce z piersi i ciskał pod jej stopy.

To być nie mogło, by ona śmiała się do innych w ten sposób; ten śmiech należał do mnie, do mnie jednego. Chciałem biedz, odpowiedzieć na niego, pochwycić ją. Podniosłem powieki i o mało nie rzuciłem się na scenę... Ona była w objęciu wysokiego bruneta, który z miną impertynencko-niedbałą, z miną ostatniego głupca, ostatniego prostaka, przyjmował jej pieszczoty.

Ruch mój był tak gwałtowny, iż moi dwaj sąsiedzi od razu opuścili lornety, któremi uzbrojeni przyglądali się scenie, i spojrzeli na mnie. Wzięli mnie zapewne za waryata. Doprawdy, mieli słuszność. Bo ja sam niewiem, co się ze mną działo; byłbym dał połowę życia, by mieć naprzeciw siebie tego bruneta i rzucić się na niego. Dzikie instynkta brały we mnie górę nad nawyknieniami cywilizacyi. Czerwone płaty biegały mi przed oczyma. Nagle rozległ się grzmot oklasków i widziałem ją, jak wybiegła na przód sceny uśmiechnięta, dziękując ukłonami i obrzucając całą salę od góry do dołu zalotnem spojrzeniem.

Powinieniem był klaskać i ja także. Byłem jak skamieniały. Ona skryła się za kulisy. A wówczas teatr trząsł się od pomieszanych głosów, wołających: „Sewera! Sewera!“ — Niezdolny dalej panować nad sobą, zakląłem głośno, zapominając gdzie jestem, i jak szalony wybiegłem z teatru.

Słyszałem, że zrobił się koło mnie ruch jakiś, ale nie zważałem, uciekłem, jakby goniono za mną.

Wieczór był zimny, dżdżysty, alem ja tego nie uczuł, wiatr jesienny nie mógł ochłodzić mi czoła, ani przywrócić porządku myślom.

Coś we mnie kończyło się, zamierało. Czułem to tylko, że cierpię. Jakiego rodzaju było to cierpienie, nie wiedziałem.

Nie mogłem przecież być zazdrosnym o tego wysokiego bruneta z wyłupiastemi oczyma i głupowatym wyrazem. Wszakże była aktorką? Wszak to nie było dla mnie tajemnicą żadną.

Chciałem się przemódz, powrócić do teatru, nie mogłem. Coś odpychało mnie od tej sali, zapełnionej widzami, którzy oklaskiwali ją, mieli prawo wywoływać jej nazwisko, na których wołania stawić się musiała i odpowiadać ukłonami, uśmiechem. Było w tem coś niewypowiedzianie przykrego, czem moja miłość czuła się upokorzoną. Ja tego znieść nie mogłem, nie, nie mogłem. Na samo wspomnienie głosów krzyczących: Sewera! Sewera! zimny dreszcz przechodził mnie od stóp do głowy i tak, jak tego wysokiego bruneta chciałbym był mieć w ręku, ten tłum klaszczący i zmusić go do milczenia. Powstawały we mnie neronowskie żądze; byłbym chciał widzieć jedną tylko głowę w tym tłumie i wziąść ją na cel pistoletu.

Noc całą błądziłem po mieście, aż wreszcie przyszedłem do postanowienia. Ona musi porzucić teatr. Ja, albo on. Niech uczyni wybór. Jutro — nie, dziś jeszcze, bo już mroczny ranek zarysował się pierwszemi blaskami na wschodzie, dziś jeszcze postawię jej to pytanie.

Muszę przyznać, iż nie wątpiłem co wybierze. Nie przyszło mi do głowy powątpiewać o jej sercu. Nie czułem niepokoju żadnego. A przecież byłem zbolały, śmiertelnie smutny, zniechęcony, jak gdybym był świadkiem zbezczeszczenia tego, co dla mnie było świętością.

Nadeszła godzina, o której zwykle bywałem u Sewery; poszedłem do niej. Uczyniłem to przecież jakby mocą nałogu, ogarniony jakiemś uczuciem bez nazwy. Była to trwoga, z której sobie sprawy zdać nie mogłem, niesmak, ból głuchy. I ja, com biegł zwykle po schodach, by ujrzeć ją czemprędzej, mimo woli i wiedzy zwalniałem kroku, im bliżej byłem jej drzwi.

Była sama, czekała na mnie, może gniewała się, żem nie był świadkiem jej tryumfów, a może też odczuwała moje wrażenia. Wszak ona dotąd czytała we mnie, jak w otwartej księdze. Gdym wszedł, podniosła na mnie oczy, te oczy, pod których blaskiem topniałem jak wosk. Ale teraz spojrzenie to ześliznęło się po mnie bez zwykłego wrażenia. Zanim je skierowała ku mnie, patrzała tak samo na tego obcego człowieka, z którym wczoraj występowała na scenie, tak samo jak mnie obrzucała niewypowiedzianą pieszczotą.

Stałem w progu jakby skamieniały, zapytując serca o jego niepojęte bicia, badając jego niepojęte zmiany.

Wówczas Sewera zerwała się z miejsca i pobiegła ku mnie z wyciągniętemi rączkami.

— Niedobry! — szepnęła swym dźwięcznym głosem, modulując go w te wszystkie odcienia, zachwycające mnie dotąd. — Niedobry! gdzie byłeś wczoraj?

Zaśmiała się, jak śmiać się była zwykła, kiedy szło jej o pokonanie mnie ostateczne, potem chciała mi położyć rączki na ramionach, jak to czyniła nieraz.

Ale w tej chwili stanęła mi w oczach tak wyraźnie w objęciach wysokiego bruneta, iż odtrąciłem ją z rodzajem wściekłości! Jak wczoraj z teatru, tak dziś wybiegłem z jej mieszkania. Śmiech jej dźwięczał mi w uszach, wdzięczna postać majaczyła przed oczyma, na to tylko, by tę wściekłość podżegać.

Ja teraz nie mogłem wierzyć ani jej słowom, ani głosowi, ani spojrzeniu; patrzyła na mnie jak na tysiące innych we wszystkich rolach, jakie odgrywała; te wyrazy miłosne, które sądziłem, że wypowiadała mnie jednemu z głębokim oddźwiękiem, były powtarzane co wieczór z tą samą intonacyą, z tem samem uczuciem, czy pozorem uczucia.

Mogłem wprawdzie zażądać, by wyrzekła się teatru i kto wie?... uczyniłaby to zapewne, ale cóż ztąd? ona dla mnie wydawałaby się zawsze na scenie, słyszałbym ją zawsze powtarzającą rolę i wiedziałbym, że tak będzie wiecznie, że wczorajszego wieczoru nie zapomnę. Wiecznie będę ją widział,

zwracającą się do innego i wiecznie cierpiał, com wówczas przecierpiał.

Uciekłem z Krakowa. Nie widziałem więcej Sewery. Długi czas nie mogłem nawet wspomnieć o niej bez wstrętu i bólu. Kochałem ją jeszcze. A dziś... dziś, po wielu latach, gdy myślę o niej sprawiedliwiej, myślę... że i ona kochała mnie....

Walerya Marrene.

Zaproszenie do przedpłaty.

Niniejszy numer jest przedostatnim w bieżącym kwartale i roku, więc

czas największy zapisać

„Pracę"

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 mrk. 25 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę" z **Poznania.**

W 26-ym numerze rozpoczęliśmy druk niezmiernie ciekawej, nader zajmującej i sensacyjnej powieści p. t.

Śpiewaczka ludowa

z bardzo licznemi illustracyami.

Powieść oparta na faktach historycznych z r. 1815, jest tak interesująca, że trudno się od niej oderwać.

Obszerny bardzo początek tej powieści — 25 wielkich arkuszy „Pracy" — dostarczymy nowym abonentom bezpłatnie.

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę", każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.

Na franko prosimy nadesłać 20 fenygów w znaczkach pocztowych.

Każdy nowo przybyły Abonent niech nam doniesie dokładnie, od którego numeru „Pracy" życzy sobie mieć powieść p. t. „Śpiewaczka ludowa." Jednocześnie upraszamy tych Szanownych Abonentów, którzy już otrzymali pierwsze arkusze tej powieści, a życzą sobie mieć dalsze o łaskawe dokładne doniesienie nam, które arkusze przysłać im mamy. W każdej „Pracy" jest każdy arkusz powieści numerowany, więc należy n. p. donieść: „proszę mi przysłać arkusze 18, 19, 20 lub też arkusze 15, 16 i 17 i t. p." Na dowód prosimy załączyć kwity pocztowe abonamentowe.

Komu zależy na punktualnem, regularnem otrzymywaniu „Pracy", niech zamówi „Pracę" na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Odezwa.

Żywiołowe budzenie się Górnego Śląska do pracy, do czynu, pierwsza próba ogniowa — wybory do parlamentu — zainteresowały całą Polskę żywo, zajęły każdego, co pilniej i baczniej tętno naszego życia narodowego bada. Odezwa Towarzystwa Wyborczego przyjętą też została przychylnie i zewsząd posypały się obfite na ten cel datki. Zajścia w Hucie Laury niemniej pobudziły wszystkie iście po polsku czujące jednostki do składania choć małych datków na ofiary tej katastrofy i przypomniały społeczeństwu naszemu, że jest naszym obowiązkiem udzielać wszędzie tam materyalnej pomocy, gdzie tego rzeczywiście sprawa polska i narodowa wymaga. W tej myśli też zwracamy się dzisiaj do wszystkich nam przychylnych jednostek, którym idea sokolska nie jest obojętną, zwracamy się do wszystkich, którzy pojęli, jak potężną dźwignią życia narodowego jest praca zbiorowa, praca organizacyjna, którzy pojęli, że dzisiaj w przełomowym dla nas czasie obowiązkiem naszym jest pielęgnowanie w zdrowem ciele zdrowego ducha, a zwracamy się z tą nadzieją, że nam społeczeństwo nasze pomocy nie odmówi.

Wiadomo ogólnie, jak trudno Towarzystwom polskim u nas na Górnym Śląsku żyć życiem czynnem, życiem żywem. A bodaj największe przeszkody ma nasz „Sokół" do zwalczania, największe przeciwności do łamania. Podobnie, jak na całym obszarze ziemi polskiej pod zaborem pruskim i nasz „Sokół" na Górnym Śląsku uznany jest za Towarzystwo polityczne i cieszy się dlatego jak „najczulszą opieką" naszych najserdeczniejszych, którym idea sokolska jest wprost solą w oku. Nigdzie też nie możemy dostać lokalu do posiedzeń, nigdzie sali do ćwiczeń, bo gospodarzom, którzyby nam gościny udzielili, odbiera się koncesyę i bojkotuje we wszelki możliwy sposób. Posiedzenia odbywamy częstokroć pod gołem niebem w lasach, ćwiczenia nie odbywają się wcale, lub we warsztatach rzemieślniczych, które temu lub owemu gniazdu uda się na krótki czas za drogie pieniądze wynająć, dopóki i ztamtąd policya nas nie usunie. Gniazda: Rożdzień-Szopienice i Mysłowice są zmuszone ćwiczyć w Galicyi na Jęzorze, bo lokalu w swych miejscowościach dostać nie mogą. Gniazdo Katowickie przez cztery prawie lata dla braku lokalu nie dawało o sobie znaku życia. Gniazdo Lipińskie z tego samego powodu grozi prawie rozwiązaniem się. Trudności, jakie mamy ze strony policyi do zwalczania, powiększają nadto hakatyści, którzy się nieraz uciekają do brutalnych napaści na nas, jak to się działo w Mikołowie, gdzie usiłowaliśmy założyć nowe gniazdo. Skarga sądowa o pobicie kilku naszych druhów jest dotąd w toku.

A jednak wobec tych wszystkich przeciwności żyjemy i rozwijamy się, a młodzież śląską ogarnia coraz to większy zapał dla idei sokolskiej. Liczymy obecnie siedem gniazd i kilkuset członków, na ostatnim zlocie wystawiliśmy około 80 ćwiczących.

Liczby te wobec przejęcia się młodzi śląskiej sprawą sokolską powiększyłyby się w niedługim czasie dziesięciorako, gdybyśmy swobodnie rozwijając się, mogli i sposobić skrzydła w daleki lot. To też niżej podpisany komitet postanowił się zwrócić do społeczeństwa naszego, tak zaszczytnie znanego ze swej ofiarności na cele publiczne, z prośbą o datki, by wspólnemi siłami zbudować sokolnię, w której ptak nasz szaropióry znalazłby przytułek i nie był narażony na przeciwności ze strony władz policyjnych. Zwracamy się więc w pierwszej linii do Was, bratnie nam gniazda, zwracamy się z całą nadzieją, że nam pomocy nie odmówicie i uchwalicie, na co Was stać będzie, **na Sokolnię na Górnym Śląsku.**

Zwracamy się dalej do wszystkich Towarzystw polskich z całem zaufaniem, że nam pomocy nie poskąpicie, że i Wy dołożycie ręki do zbudowania Sokolni na Górnym Śląsku. Zwracamy się do Was wszystkich, którzy pokochaliście nasze usiłowania i naszą młodzież sokolą, pracującą nad tem, by w sobie wyrobić tę tężyznę duchową, której nie złamie ni burza ni grzmot, a zwracamy się w tem przekonaniu, że i Wy choć po cegiełce dorzucicie do budowy „Sokolni na Górnym Śląsku".

Wreszcie zwracamy się do Ciebie, **młodzieży polska,** byś przy zabawie,

uroczystościach, obchodach familijnych i narodowych zbierała datki na „Sokolnię na Górnym Sląsku“ i pokładamy w Tobie nadzieję, że naszych prośb lekceważyć nie będziesz, lecz z młodzieńczym zapałem i gorącem sercem zabierzesz się do poparcia naszych usiowań celem wzniesienia „Sokolni na Górnym Śląsku“.

Niech nam będzie wolno już dzisiaj wszystkim naszym ofiarodawcom na tem miejscu wypowiedzieć serdeczne „Bóg zapłać“, a za spełnienie obowiązku i polskiego i obywatelskiego wykrzyknąć gromko: „Czołem“.

Postrach. Badura. Majewski. Tomalla. Korus. Widera.

Wszelkie datki przeznaczone na powyższy cel prosimy przesyłać pod adresem: Adam Postrach w Katowicach (Kattowitz O.-Schl).

Wiadomości.

— **Z powodu** ***Gwiazdki i Świąt Bożego Narodzenia następny i ostatni w bieżącem ćwierćroczu numer „Pracy“ (nr. 52-gi) wydamy z zwykłą datą niedzielną (27-go grudnia) już na Gwiazdkę i oddamy go na pocztę tutejszą najpóźniej rano w Gwiazdkę, t. j. we czwartek, dnia 24-go b. m. tak, iż numer ten odbiorą wszyscy Czytelnicy nasi na Święta lub też podczas Świąt z tej poczty, w której obrębie mieszkają. Niech więc idą lub poślą na pocztę po nr. 52 gi „Pracy“ w Gwiazdkę wieczorem lub też podczas Świąt Bożego Narodzenia.***

Abonentom miejscowym dostarczą numer 52-gi „Pracy“ nasze roznosicielki w Gwiazdkę ile możności do południa. W tym też czasie można odbierać „Pracę“ z ekspedycyi naszej przy ulicy Rycerskiej nr. 38 w podwórzu 1 piętro na prawo.

— ***Proces nowy polityczny*** wytoczono naszemu tygodnikowi o artykuł wstępny zamieszczony w nr. 42gim „Pracy“ p. t. „Żelazny kanclerz“, w którym dopatrzono się rzekomego podburzania do gwałtów. Dnia 9-go b. m. miał w tej sprawie przed sędzią śledczym przesłuchy nasz odpowiedzialny redaktor p. Józef Lissowski.

— ***Na trzy miesiące*** do więzienia pójdzie niebawem były nasz odpowiedzialny redaktor p. *Józef Niemirowicz.* Karę tę odsiadywać będzie we więzieniu poznańskiem za rzekomą obrazę pewnego sołtysa z Górnego Slązka, którą miał popełnić w zamieszczonej korespondencyi.

— ***Tuż pod miastem Trzemesznem*** uroczo położona wioska Brzozówiec około 500 mórg obszaru z okazałym dworem, pięknym parkiem itd. należąca do domu bankowego *Drwęski & Langner w Poznaniu* przeszła w zeszłym tygodniu mocą kupna na własność w szerokich kołach zaszczytnie znanego obywatela p. Ksawerego Stelmachowskiego z Poznania.

Pan Stelmachowski, rozpocząwszy zawód architekta w skromnych warunkach, uczciwą, pilną i wytrwałą pracą dorobił się z czasem znacznego mienia i teraz dla syna nabył myjątek ziemski, za co się p. Stelmachowskiemu należy uznanie i cześć.

Brzozówiec był od niepamiętnych czasów w rękach niemieckich a zarazem ulubioną rezydencyą króla pruskiego, Fryderyka Wielkiego.

Szczęść Boże nowemu nabywcy!

— **Bohaterami dnia** podczas nadchodzących świąt będą bez zaprzeczenia *pierniki*, gdyż ich nie zabraknie nawet w chatce najbiedniejszej. Zakupywać je powinniśmy tylko z piernikarni polskich, mianowicie z renomowanej fabryki p. *A. Markiewicza w Kostrzynie.* Wyroby tej fabryki, odznaczone wielokrotnie na wystawach przemysłowych w kraju i za granicą medalami i pochwałami, śmiało konkurować mogą z wszelkiemi *niemieckiemi piernikami* toruńskiemi. Pierniki p. *A. Markiewicza* nabyć można w cukierniach, handlach kolonialnych, delikatesów oraz w składach cukrów tak w Poznaniu jak też na prowincyi. Zwracamy Szanownym Czytelnikom baczną uwagę na zamieszczane stale w „Pracy“ ogłoszenie p. *A. Markiewicza.*

— **Pan M Zabłocki**, właściciel fabryki obuwia i cholewek przy ulicy Berlińskiej, wydał świeżo *illustrowany cennik* swych fabrykatów wykonany ozdobnie.

— **Bank Ziemski** nabył w zeszłym tygodniu dwa majątki, t. j *Szamarzewo* w obszarze ca, 1000 mórg w powiecie Wrzesińskim od p. Hebanowskiego i *Puszczno* w obszarze ca 1200 mórg w powiecie Kwidzyńskim w Prusach Zach. od p. Burkharta.

— **Zwracamy** Szan. Czytelnikom uwagę na ogłoszenie, dotyczące *kalendarza rolniczego „Gospodarz“ na rok 1904*, który opracował i wydał p. Józef Rutkowski w Grudziądzu. Kalendarz ten uważać można jako bardzo dobrą, popularnie opracowaną, praktyczną książkę, która rolnikom wielkie korzyści oddać może. Obok działów zawartych w zwykłych kalendarzach, spostrzegamy wiele pouczających artykułów, drobnych rad i wskazówek, obok tabel i różnych wykazów. Kalendarz obejmuje *200 stron* większego formatu i zawiera blisko *40 doskonałych rycin.* Między innemi zasługują na wyszczególnienie: rozprawa napisana przez znanego agronoma p B. Bardzkiego pod tytułem: „Żyto, prastara podstawa pokarmowa“; artykuł p. Wal. Tomaszewskiego: „O chowie świń;“ dalej „Szczegółowa nauka o sztucznych nawozach;“ „Prawidła chowu bydła;“ 10 reguł dotycz. racyonalnego prowadzenia gospodarstwa;“ „O kozie, tej krowie ubogich;“ „Przepisy do prawidłowej uprawy zyskowych warzyw“ itd. itd, Kalendarz ten jest prawdziwym podręcznikiem gospodarskim, który posiada tę zaletę, że jest dosyć wszechstronny i *bardzo tani.* Każdy rolnik począwszy od właściciela wielkiej włości, aż do zagrodnika choćby tylko na jednej mordze, znajdzie w kalendarzu „Gospodarza“ to, co u siebie z korzyścią zużytkować może.

† **Z miasta. S. p. Stefan Szyperski** zmarły dnia 11-go b. m. w Poznaniu po krótkiej chorobie, urodził się dnia 22-go sierpnia 1836-go roku w Dąbkach pod Nakłem z ojca Wojciecha i matki Michaliny z hr. Garczyńskich. Wychowywany przez czas pewien u ks. Szyperskiego w Kobylinie udał się do gimnazyum w Trzemesznie; siedział tam na jednej ławie z Najprzewielebniejszym ks. Arcybiskupem Stablewskim. Po wyjściu ze szkół przejął rządy w majątku ojca Gromadnie pod Wyrzyskiem, gdzie też na własne życzenie pochowanym został. Po kilkoletniej pracy gospodarczej w dobrach hr. Bnińskiego udał się do Królestwa, zkąd powrócił w roku 1877 do Księztwa.

Wstąpiwszy do redakcyi „Gońca Wielkopolskiego“ był powiernikiem i towarzyszem ś. p. Ludwika Rzepeckiego, pracował z poświęceniem bądź to w dziale redakcyjnym, bądź to administracyjnym, a charakter jego skromny, uprzejmy, czysty jak łza, uczciwość bezgraniczna zjednały mu poważanie i szacunek wszystkich, którzy go bliżej poznali. Patryotyczne usposobienie cechowało jego życie całe; kilkakrotnie za przestępstwa rzekome prasowe uwikłany w procesa polityczne, przesiedział ogółem 20 miesięcy w pruskiem więzieniu. Mimo to nie upadał na duchu, nigdy nie wątpił, że sprawie naszej polskiej prędzej czy później nemezis dziejowa wymierzy sprawiedliwość. Po 18to-letniej pracy w „Gońcu Wielkopolskim“, gdy takowy wyszedł z rodziny Rzepeckich, wstąpił do „Przyjaciela Ludu“ i tam gorliwego i czynnego dokonał żywota. Społeczeństwo polskie traci w Nieboższczyku człowieka niezmordowanej pracy, rzadkiej uczciwości i sumienności, dobrego Polaka i obywatela. Strapionej rodzinie wyrażamy współczucie, Nieboższczykowi niechaj ziemia lekką będzie! R. i. p.

† **Z prowincyi.** Dnia 5 b. m. umarła na szkarlatynę dwuletnia Jadwinia Skrzydlewska, córeczka Ignacego Skrzydlewskiego, dziedzica Wójcina i żony jego Haliny z Marcinkowskich z Szelejewa. Bóg dał, Bóg zabrał ukochaną pieszczotkę całej rodziny. Wiara w Boga — później czas

ukoją żal po stracie rozkosznej dzieciny. Szczerze współczująca

N. N.

— **Zwracamy uwagę** na anons polskiej firmy „Szczeciński hurtowny handel śledzi i nafty, Maciejewski i Sp., Poznań, W. Garbary 23,“ która nadto prosi nas o umieszczenie następującego komunikatu: „Wieści rozsiewane, jakoby wyłączną sprzedaż nafty amerykańskiej objęło tutejsze nowo utworzone niemieckie Towarzystwo, polegają na nieprawdzie. Sprzedaż nafty amerykańskiej bowiem jak dotąd tak i nadal firma nasza hurtownie prowadzić i wszelkie zamówienia od najmniejszych do największych po cenach możliwie najniższych uskuteczniać będzie.“

— **Żnin.** Parafia żnińska posiada wspaniały kościół z XV wieku pod wezwaniem św. Floryana, któremu atoli głównej braknie ozdoby, t. j. wieży. W r. 1728 odprawił w Żninie X. Biskup Kraszkowski wizytacyą kościelną, w której wspomina o strasznym pożarze, jaki na kilka lat przedtem miasto nawiedził, przyczem kościół parafialny zupełnemu uległ zniszczeniu, tak że pozostały z niego tylko starożytne mury.

W tym ogniu spłonęła także wieża, której dla braku funduszów już nie odbudowano. Wystawienie wieży, która w stosunku do wielkich rozmiarów kościoła musi być bardzo wysoka, na dzisiejsze czasy będzie kosztowało 50—60 tysięcy marek, a gdy zważymy nadto, że kościół potrzebuje gruntownego odnowienia tak na zewnątrz, jak i na wewnątrz, że w niezadługim czasie będzie musiał być rozszerzony przez przybudowanie kaplicy, suma 80 tysięcy marek będzie raczej za niska aniżeli za wysoka.

Zebranie 80—85 tysięcy marek wymaga nie mało czasu i zabiegów, to też fundusze nasze, jakkolwiek parafianie, co mogą, składają, bardzo wolno wzrastają.— Aby wykonanie tego zbożnego dzieła jak najbardziej przyśpieszyć, zwracam się do wszystkich ludzi dobrej woli z pokorną prośbą o łaskawe udzielenie nam pomocy. Każdy, kto może, niech dorzuci swój grosz, my będziemy szczerze wdzięczni za to, a Pan Bóg z pewnością wynagrodzi.

Nadmienamy jeszcze, że każdy ofiarodawca otrzyma książeczkę z obszernym opisem Żnina i obrazek cudowny Matki Bozkiej Żnińskiej.

Wszelkie, chociażby najmniejsze ofiary z wdzięcznością przyjmuje

X. Władysław Jasiński,
administrator parafii żnińskiej.

Ze względu na trudności, jakie poczta w sprawie polskich adresów czyni, uprasza się adresować bez wszelkich dodatków.

Władysław Jasiński Żnin.

* * *

— **Na kościół** w Żninie złożyli w dalszym ciągu pp.: Mendat z pod Lubawy 1 m. A. Kowalska z Miat pod Trzemesznem, J. Zawitaj z Bydgoszczy, H. Kończak z Sarbinowa, H. R. z Poznania, S. Radecki z Poczdamu po 3 m. K. Pilachowska z Bożejewic, F. Koszutski z Pakości po 2 m. L. Jarczyński z Swarzędza 10 m. Karczewski z Rgielska 2 m. 70 fen. Brzeziński z Dobrojewa 1 m. 75 fen. J. Rohde z Poznania 5 m. X. radzca Sołtysiński z Szubina z par. 65 m. 50 fen. Zebrane przez F. Witučkiego na weselu u W. Kłosińskiego w Imielinie 5 m. 20 f. F. Wąsikowski i S Chwiałkowski z Śremu po 1 m. Młynarz z Januszkowa 50 f. Zebrane przez S. Sakiewicza z Łukowa p. Łekno 8 m., a mianowicie M. Sobisiak 1 m., M. F. W. Wachowiakowie 1 m., wszyscy z Pniew, S. Sakiewicz 2 m., K. Kruszka, A. Czesławska, M. Witucha po 1 m., Z. Nowakowska 30 fen., A. Kaczor 20 f., A. Stachowska 50 f. — wszyscy z Łukowa, F. Koszutski z Pakości 2 m. — „Bóg zapłać!“ Proszę uprzejmie o dalsze składki. Dla oszczędzenia portoryum zaleca się zebrać składkę od kilku osób i przesłać wspólnym przekazem.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Zmarli.

† Ś. p. *Teodorowa z Lewandowskich Bedermanowa* dnia 8go b. m. w Poznaniu w 69 roku życia.

† Ś. p. *Józef Gockowski* dnia 8-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *Stanisława Wierzbicka z Gryglewiczów* dnia 7-go b. m. w Gnieźnie.

Wiadomości literackie.

— **„Korporacya kupców chrześcijańskich w Poznaniu 1903** Nakładem korporacyi. Druk I. Leitgebra w Poznaniu.“ Pod takim tytułem opuściła świeżo prasę bardzo interesująca książka, zajmująca nadzwyczaj ważne wskazówki i dokumenta dla badaczy dziejów handlu i przemysłu polskiego, a sięgająca czasów Jagiellońskich.

— **Dla miłośników muzyki.** Pan Piotr Krokiewicz w Wieliczce ma zamiar wydać kilka pieśni religijnych z towarzyszeniem fortepianu, ku uczczeniu Ojca św. Piusa X. Pieśni te mają zatwierdzenie cenzury kościelnej przez księcia kardynała Puzynę i odznaczają się tak podniosłą treścią religijną, jako też artystycznem zharmonizowaniem. Ażeby wydawnictwo pieśni religijnych przyszło rychło do skutku, wydał p. Krokiewicz kilka utworów muzycznych swej żony Apolonii, autorki wyżej wspomnianych pieśni religijnych.

Już poprzednie wydawnictwo zostało mile powitane w świecie muzycznym i wiele wybitnych osobistości nadesłało uznanie dla wydawcy i autorki, a ks. Biskup Pelczar udzielił błogosławieństwa do dalszej pracy.

Aby jednak umożliwić wydanie pieśni religijnych, potrzeba poprzeć dotychczasowe usiłowania wydawcy. Zwłaszcza zaś nabywcy utworów i redaktorzy pism mogą rozwinąć skuteczne w tym kierunku współdziałanie.

Dotąd wyszły z druku: Cena w kor. i w Mrk

1. Op. 9 Na skrzydłach melodyi. Walec na fortepian	2·40
2. Op. 12 Polonez pamięci A. Mickiewicza do śpiewu	3·—
3. Op. 29 Salve! marsz na fort.	2·40
4. Op. 23 Toccata na fortepian hr. Andrzejom Potockim	2·60
5. Op. 25 Wysłuchaj mnie! Romans do śpiewu	3·—
6. Op. 40 Morze. Fantazya do śpiewu	3·—
7. Op. 37 Dzwon wawelski, do śpiewu	3·—

Rozmaitości.

O germanizacji Mazurów tygodnik „*Woche*“ pisze: W trzech dziesięcioleciach Mazurzy zaniechali swojego języka, właściwego sobie sposobu ubierania się i nawet swoich zwyczajów zabobonnych. Tylko w samotnych wsiach wielkiej puszczy jansborskiej jeszcze tu i owdzie są ludzie, którzy ani słowa nie mówią po niemiecku. Młodsza generacja w niczem już się nie różni od mieszkańców okolic czysto niemieckich. U Mazurów nie było momentów oporu, jakie są np. u Polaków w Ks. Poznańskiem i w Prusach Zachodnich. Mazur jest ewangelikiem i patrjotą pruskim z ciałem i duszą. Wojna w r. 1870 i 1871 dała pobudkę do prędkiej germanizacji. Aż do tego czasu w szkołach wiejskich w większej części uczono po polsku. Wojacy, powróciwszy do domu, sami żądali, aby ich dzieci uczyły się czytać i pisać po niemiecku.

* * *

Kanibalizm obłąkanej. Paryski „Journal“ podaje, że niejaka Hortensya Estival w Marsyii pożarła własną dwumiesięczną córeczkę. Straszliwa tragedya rozegrała się w następujących okolicznościach. Hortensya Estival żyła w związku nieślubnym z niejakim Dufilem, woźnicą, a przed dwoma miesiącami została matką. Jednakże kochanek jej nietylko nie chciał uznać dziecka za swoje, ale wypędził Hortensyę i zbił ją brutalnie. Wstrząśnienie, jakiego doznała nieszczęśliwa wskutek tego przyprawiło ją o pomieszanie zmysłów. Obawiała się ciągle, że ktoś chce zabrać jej córeczkę, udała się przeto do komisarza policyi, prosząc go o opiekę.

Ponieważ jednak żadne istotne niebezpieczeństwo dziecku nie zagrażało, odprawiono ją z niczem. W ubiegły wtorek Hortensya Estival wzięła swą córeczkę na ręce i wyszła z domu. Po chwili służąca, która poszła do ogrodu, aby rozwiesić bieliznę, spostrzegła, jak Hortensya z obłąkanemi oczyma wżarła się w ciało swej córeczki, która leżała na ziemi w kałuży krwi.

Służąca z krzykiem wróciła do domu, domownicy pobiegli do ogrodu, a oczom ich przedstawił się okropny widok. Jak wściekła wilczyca Hortensya gryzła swemi pięknemi zębami ciało swej córeczki, musiano przemocą wydrzeć jej zdobycz. Nieszczęsna matka odgryzła dziecku ucho, lewą rękę aż po łokieć, palec i dłoń rączki prawej i całą dolną część twarzy.

Widok był okropny. Straszliwie pokaleczone dziecko żyło jeszcze pół

godziny. Natychmiast przybył komisarz policyi, któremu Hortensya dawała odpowiedzi bez związku, w końcu zaś wołać zaczęła: „Oddajcie mi moją córkę! Chcą mi ją zabrać! Ja chcę zjeść ją całą!“ Nieszczęsną zamknięto w więzieniu, a następnie w domu obłąkanych. Niema ona żadnej świadomości swego czynu i nie wie, co się stało z jej dzieckiem. Jeszcze jeden okropny szczegół: w dzień wypadku przedsięwzięto poszukiwania po ogrodzie; znaleziono tylko część wargi dziecka — wszystko inne obłąkana matka pożarła.

* * *

Dramat w menażerji. O zabiciu przez lwa pogromicielki zwierząt Fischerowej podczas przedstawienia w menażerji w Dessau donoszą pisma niemieckie szczegóły następujące: Fischerowa próbowała podczas przedstawienia popołudniowego ubiegłej niedzieli zmusić do skoków przez obręcz, powleczoną papierem, starego lwa, zwierzę olbrzymie, wychowane w menażerji. Lew był nieposłuszny rozkazom, to też poskromicielka uderzyła go kilkakrotnie biczem. Zwierzę wyszczerzyło zęby, spojrzało na nią wzrokiem wściekłym i zaczęło pełzać dokoła klatki na podobieństwo kota. Aczkolwiek Fischerowa widziała ten ruch zdradziecki, to jednak, zajęta trzema innemi lwami, nie mogła nieposłusznego zwierzęcia śledzić, odwróciła się też niebacznie na mgnienie oka do lwa tyłem. Chwilę tę wyzyskało rozjuszone zwierzę i, rzuciwszy się z tyłu na poskromicielkę, zadało jej tak silne uderzenie łapą i pazurami w głowę, że zerwało zupełnie wierzch czaszki. Nieszczęśliwa kobieta, krzyknąwszy jeszcze: „Precz!“ — padła bez zmysłów z mózgiem obnażonym. Lew rzucił się na nią, rwąc pazurami i gryząc jej ciało. Mąż Fischerowej, widząc tę okropną scenę, wpadł do klatki, uzbrojony drągiem żelaznym, ale dopiero po kilkunastu uderzeniach zdołał lwa od ofiary odpędzić. Śród publiczności, obecnej w menażerji, powstała panika, tem bardziej, że, wpadając do klatki na ratunek żonie, Fischer zapomniał za sobą drzwi zatrzasnąć, była więc obawa, iż inne lwy z klatki wybiegną. Na szczęście, oficjaliści menażerji zapobiegli temu, zatrzasnąwszy drzwi i powstrzymując lwy na wodzy za pomocą drągów. Wyniesiono wreszcie strasznie poszarpane ciało zabitej i zawieziono do domu pogrzebowego. Pomimo wszakże tego strasznego dramatu, przedstawień w menażerji nie zaniechano.

* * *

Woda w Hiszpanii...

Na półwyspie Pirenejskim panuje przekonanie ogólne, że nic tak nie szkodzi zdrowiu, jak częsta zmiana wody do picia. Z tego powodu wszyscy ludzie zamożniejsi, udając się na wycieczki letnie, zabierają z sobą zapas wody, do której się przyzwyczaili. Przewożą ją w wielkich dzbanach glinianych, u góry zwężonych, zwanych „botijos“. Niedawno, podczas pobytu królowej-regentki w San Sebastiano, wysyłano codziennie z Madrytu cztery wielki „botijos“ z wodą do picia, czerpaną na placach „de Oriente“ i „Fuente del Berro“. Źródła te cieszą się w stolicy opinią, że wydają najlepszą wodę. Każdy Hiszpan jest wielkim amatorem wody. Nigdy nie wypije filiżanki kawy, czekolady lub kieliszka likieru bez szklanki wody. Smak napoju źródlanego podnosi jeszcze „azucarillo“. Jest to kawałek masy, złożonej z białka, cukru i soku cytrynowego. Masa ta bardzo prędko się rozpuszcza i wywołuje zniżenie temperatury w wodzie. Szklanka „Aqua con azucarillo“ orzeźwia nader przyjemnie. Niektóre prowincye hiszpańskie bardzo są ubogie w źródła. W Manchy, ojczyźnie Don Kichota, mieszkańcy sprowadzają wodę ze źródeł o kilka mil odległych. Za to Kastilia obfituje w źródła doskonałej wody i w liczne strumienie. Woda tamtejsza ma chronić ludzi przed epidemią. Podczas największych mrozów czerpią tam wodę w wielkie beczki, zwane „tanajas“, które ustawiają kolejno, stosownie do lat, w których je napełniono. Amatorzy piją ten napój zawsze z beczki najdawniejszej i kolejno przechodzą do coraz wcześniejszych, przytem starają się każdej zimy napełnić znaczną liczbę „tanajas,“ aby mieć zapas dobrej, starej wody. Im woda jest starsza, tem ma być lepsza i smaczniejsza, zupełnie jak wino. Pewnego podróżnego poczęstowano w Lorii, wodą czerpaną w r. 1852. Zaręcza on, iż nigdy w życiu nie pił wody smaczniejszej. Wina używają Hiszpanie stosunkowo niewiele.

* * *

Dyamenty w stali.

Doświadczenia, któremi Moissan wykazał sztuczne wytwarzanie dyamentów, zwróciły też uwagę na prawdopodobieństwo istnienia dyamentów w stali. Moissan bowiem, jak wiemy, otrzymał sztucznie swe dyamenty przez nasycenie stopionego żelaża przy 3,000° węglem i oziębienie tej masy pod znacznem ciśnieniem; w warunkach takich część węgla przeobraża się w kryształy mikroskopowe. P. Rossel wniósł ztąd, że odmiany twarde stali, które otrzymują się w temperaturze bardzo wysokiej i pod wysokiem ciśnieniem oziębiają, odpowiadają warunkom doświadczeń Moissana i zawierać mogą mikroskopowe dyamenty. Zbadał więc kilka okazów takiej stali, rozpuszczając metal w silnych kwasach, a następnie traktując osad kolejno stężonym kwasem azotnym, stopionym chloranem potasu, stężonym kwasem fluowodorowym i wreszcie silnym kwasem siarczanym. W samej też rzeczy z wielu prób otrzymał osad krystaliczny, przezroczysty i nierozpuszczalny, który posiadał wszelkie, przez Moissana podane, cechy dyamentów sztucznych. Osad ten zawierał regularne kryształy ośmiościenne, o średnicy przechodzącej 0,0015 mm., albo też okruchy, również przezroczyste, ale znacznie większe, o średnicy 0,5 mm. W tlenie kryształy te płonęły z wytworzeniem dwutlenku węgla, miały charakterystyczny połysk tłusty, pochłaniały światło, a w świetle spolaryzowanem zabarwienia nie okazywały. Miały nader znaczną twardość, ryły korund i były bardzo kruche, tak, że kryształ o średnicy 0,[illegible] mm. przy badaniu mikroskopowem rozpadł się sam na trzy części.

Od Redakcyi.

— ***Wszystkich korespondentów*** i przyjaciół naszych upraszamy — nie po raz pierwszy, aby listy swe do „Pracy“ podpisywali imieniem i nazwiskiem dla informacyi redakcyi, która *musi* wiedzieć od kogo listy pochodzą, chociaż zachowuje zupełną tajemnicę. Anonimowych komunikatów nie uwzględniamy.

Panu St. St. w Magdeburgu. — Uznajemy Pana dobre chęci, ale wiersze nadesłane są tak błędnie napisane, że tylko do kosza wędrować mogą. Napisz nam Pan jaką krótką i treściwą korespondencyą *prozą* o tamtejszych stosunkach kolonii polskiej, a zamieścimy chętnie.

Panu B. L. w Poniecu. — Odebraliśmy za późno już po wydrukowaniu nekrologu, więc zamieścić nie możemy.

Pani Zofii Ziel. w Rixdorfie — Takiemi sprawami się nie zajmujemy; zamieść Pani anons w „Pracy“, a skutek będzie niezawodnie pewny.

Pani Katarzynie P. w G. — Zamieścimy może później, teraz z powodu nawału zaległego materyału nie możemy.

Panu T. A. w Poznaniu. — Daj Pan ogłoszenie, a chętnie zwrócimy na nie uwagę Czytelników.

Panu B. K. na prowincyi. — Specyalny tygodnik dla przemysłu ślusarskiego wychodzi w Lipsku; wystarczy taki adres: *„Schlosser-Zeitung in Leipzig.“*

Panu I. R. W. — Nie rozumiemy o co Szan. Panu idzie; prosimy zapytać się jeszcze raz — wyraźnie.

— *Pani R. M. w Berlinie.* — Artykuliku tego nie możemy zużytkować.

Dział kobiecy.

635 milionów.

Nadzwyczajne zaciekawienie budzi nietylko w Anglii, lecz i w całej Europie proces, który rozpocznie się niebawem przed sądami londyńskiemi.

W roli skarżącej występuje skazana jak wiadomo, w Kapsztadzie za fałszerstwo wekslu „niekorowanego króla Afryki południowej", Cecyla Rhodesa, Katarzyna ks. Radziwiłłowa.

Księżna żąda ze spadku po Rhodesie ni mniej ni więcej tylko 35 miljonów franków wynagrodzenia, a że żądanie to jej musi posiadać przynajmniej pozory słuszności, dowodzi fakt, że sprawę ujęli w ręce dwaj pierwszorzędni adwokaci londyńscy, pp. Rufus Isaac i Eldon Banks, którym bez wątpienia zależy na utrzymaniu dobrej sławy i powagi, jaką sobie w sądownictwie londyńskiem zdobyli.

Rhodesa poznała księżna w Londynie na zebraniu u redaktora „*Timesa*", Morleya Bella.

„Niekoronowany król" słynął z wrogiego usposobienia do kobiet, pomimo to wszakże uległ tak urokowi żywej, wykształconej i wytwornej księżny, że od tej chwili stała się jego towarzyszką i zaufaną doradczynią w olbrzymich interesach, jakie prowadził, a gdy powrócił do Afryki południowej, pojechała za nim i założyła w Kapsztadzie dziennik p. t. „*Greater Britain*," któremu poparcia użyczył gubernator kolonji, lord Milner.

Pewnego dnia, podczas nieobecności Rhodesa, księżna zjawiła się u jednego z bankierów kapsztadzkich, przedstawiając do dyskonta weksel z podpisem swojego przyjaciela. Bankier, który, nawiasem mówiąc, miał nietylko interesy pieniężne z Rhodesem, ale także był jego przyjacielem osobistym, musiał zatem znać dobrze podpis największego magnata południowo-afrykańskiego, weksel bez trudności zdyskontował. Gdy wszakże nadszedł termin wekslu, Rhodes wypłaty odmówił, oświadczając, że podpis na dokumencie jest fałszywy. Weksel tedy zapłaciła księżna. Pomimo to aresztowano ją i wtrącono do więzienia. Przebywała tam do czasu osądzenia sprawy w towarzystwie brudnych i cierpiących na choroby zaraźliwe aresztantek murzynek.

Stanęła wreszcie przed sądem. I oto okazało się, jak opowiada, że większość przysięgłych stanowili ludzie zależni od Towarzystwa De Beers, którego Rhodes był głównym akcjonarjuszem i kierownikiem. Ale nie koniec na tem, bo gdy zażądała sprowadzenia z Anglji świadków, odmówiono temu. Odrzucono również jej żądanie powołania rzeczoznawcy dla sprawdzenia podpisu na wekslu. Nie zgodzono się dalej, aby przedstawiła do niej pisany list znanego publicysty angielskiego i redaktora miesięcznika „*Review of Reviews*", Wiliama Steada, a wykazujący, że księżna była pośredniczką między nim a Rhodesem. List ów ma znaczenie i z tego względu, iż zawiera ustęp, ujawniający udział bezpośredni Chamberlaina w głośnej wyprawie dr. Jamesona do Transvaalu. Nie dozwolono jej wreszcie odczytać listów Rhodesa i lorda Milnera.

Wobec tego wszystkiego nie dziw, iż d. 30-go kwietnia 1902 r. zapadł wyrok, skazujący obwinioną na dwa lata więzienia za fałsz i sprzeniewierzenie, ale już d. 8-go sierpnia r. b., a więc na 8 miesięcy przed upływem terminu kary, wypuszczono księżnę z więzienia. Nie pozwolono jej wszakże pozostać w Kapsztadzie. Prosto z murów więziennych musiała udać się na okręt, gdzie za jej własne pieniądze, ale bez jej wiedzy, zamówiono dla niej przejazd do Anglji.

Przybywszy do Londynu, księżna udała się niemal wprost z okrętu do wyżej wymienionych adwokatów i oddała im swoją sprawę, dołączając cały stos aktów i dowodów.

Korespondent londyński dziennika „*Independance Belge*" rozmawiał o tym procesie z jednym z przyjaciół księżny.

— Wiedziano dobrze, — opowiada — że księżna jest w posiadaniu wielu tajemnic i dokumentów, zależało więc bardzo przyjaciołom Rhodesa na tem, aby skazać ją i przez to odebrać wiarogodność późniejszym jej zeznaniom i odkryciom.

Niedawno dr. Jameson oświadczył w dzienniku „*Daily Telegraph*," że wina księżny nie ulega wątpliwości. To samo powtórzył Stead w jednym z dzienników belgijskich. Oświadczenia te są wprost nie do pojęcia. Stead, naprzykład, twierdzi, że księżnę zna tylko z widzenia i że posiada ona od niego jeden tylko list, a mianowicie ten, który chciała odczytać podczas procesu w Kapsztadzie. Tymczasem w rzeczywistości księżna posiada całe pudło listów Steada, pisywali bowiem do siebie co tydzień. Gdyby zresztą Stead nie miał zaufania do niej, to czyż poważyłby się powierzyć jej ów list tak kompromitujący Chamberlaina i Jamesona?

Stead twierdzi dalej, że księżna pytała go, czy byłaby żoną odpowiednią dla tego „olbrzyma" Rhodesa. Księżna zaś oświadcza, że przeciwnie Rhodes prosił, aby się jej spytano, czy zechciałaby zostać jego małżonką, na co odpowiedziała:

— Bez wątpienia, wiem, jednak, że nie dopuszczą do tego przyjaciele jego.

Przyjaciele księżny z ufnością oczekują wyniku procesu. Według ich zdania, księżnę wtrącono do więzienia w przeświadczeniu, że słaba, cierpiąca na serce kobieta, nie zniesie kaźni. Tymczasem słaba, cierpiąca kobieta zniosła trudy i niewygody więzienne, ale zato „olbrzym" Rhodes legł w grobie.

B.

Rady praktyczne.

Niejedna gosposia może nie wie o tem, że cielęcej wątróbki nie można solić. Nieraz dziwimy się, gdy wątróbka jest twardą, co pochodzi wskutek solenia. Następujący sposób zalecamy, jako doskonały do przyrządzania tej potrawy. Przedewszystkiem wątróbka powinna być duża i świeża. Przez kilka godzin moczy się ją w mleku, obmywa i oczyszcza ze skórki; następnie szpikuje się gęsto słoniną i wstawia na bretwannie z 2 łyżkami masła do pieca. Polewa się również rosołem. Po upływie pół godziny wyjmuje się ją z pieca i wtedy dopiero soli. Potem znów wstawia się do pieca i często polewa masłem. Kto lubi, może dodać pokrajanej cebuli. Gdy wątróbka jest już upieczona, posypuje się ją mąką, polewa śmietaną, a gdy jedno i drugie dobrze ze sobą przemieszane zarumieni się, podaje się ją na stół.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Marnotrawstwo w rolnictwie.

(Dokończenie)

19. Marnujemy pieniądz przez nieumiejętne zakupno nasion różnych, których małe gospodarstwo wyprodukować nie może. Zakupna pokątne, nie u rzetelnych firm lub u stowarzyszeń opiekujących się nieoświeconym rolnikiem, zawsze są nie tylko marnotrawstwem pieniędzy, ale ponadto sprowadzają w następstwie szkody wymienione pod 4.

20. Marnujemy pieniądz, zakupując maszyny lub narzędzia rolnicze u agentów i różnych wydrwigroszów, handlarzy, którzy sami nie rozumieją się na tem, co sprzedają, zamiast korzystać z pomocy i pośrednictwa stowarzyszeń rolniczych.

21. Marnujemy czas i pieniądze, nie kupując wcale maszyn i narzędzi, których użycie może nam znacznie ułatwić uprawę lub wyzyskanie płodów. lub też kupując maszyny niepotrzebne, lub też za kosztowne dla jednego rolnika, podczas gdy zakupno ich na spółkę z innymi będzie bardzo pożyteczne i wskazane.

22. Marnujemy pieniądze, nie starając się o to, aby maszyny i narzędzia gospodarcze miały ochronę przed wpływami powietrza, nie oczyszczając ich po użyciu, i pozostawiając na pastwę rdzy, wilgoci, które je niszczą i bezużytecznemi czynią.

23. Marnujemy dochód z inwentarza, nie pomieszczając zwierząt domowych w budynkach odpowiednich, ciepłych a przewiewnych — suchych i czystych, nie żywiąc ich odpowiednio, oraz nie usuwając zbyt starych sztuk od użytku i rozpłodu.

24. Marnujemy dochód z inwentarza przez nieumiejętność hodowli, przez mieszaninę najokropniejszą ras i osobników, przez zaniedbanie przy złogach, w skutek czego mnóstwo przypłodku ginie, także w skutek zaniedbania objawów choroby, przez co dopuszczamy do rozwoju chorób groźnych, które można było w zaczątku zażegnać, lub też co gorsza dopuszczamy do zarażenia całej stajni, jeżeli się wkradnie choroba zaraźliwa.

25. Marnujemy pieniądze przy zakupnie bydła a jeszcze więcej przy sprzedaży bydła i świń, sprzedając je na oko zamiast na wagę. Konieczne jest zaprowadzenie wag bydlęcych po miastach i wsiach, aby raz sprawę tę unormować.

26. Marnujemy pieniądz nawet przez oszczędność, unikając drobnego wydatku na posmarowanie dachu gontowego smołą pogazową (terem), na zabezpieczenie w podobny sposób przyciesi, słupów, poręczy, bram, parkanów, ogrodzeń i t. p.; zaniedbując załatania małej dziury w dachu, nie zważając na obleciały tynk z budynku

27. Marnujemy siły i pieniądze, nie dbając o ścieżki, dróżki i drogi, brnąc w błocie, wyczerpując siły swoje i zwierząt roboczych, niszcząc obuwie, ubranie, uprząż, statek, i tracąc drogi czas.

28. Marnujemy czas, nie pamiętając o tem, by mieć w domu najpotrzebniejsze zapasy gospodarcze, aby nie posyłać po paczkę zapałek, po gwóźdź lub ocel do podkowy, po lada drobnostkę to do sklepu, to do kowala i t. p.

29. Marnujemy drogi czas wielokrotnie, korzystając z lada powodu i okoliczności, by pracy zaniechać. Niech ktoś jedzie drogą, niech pociąg kolejowy jedzie, i z pługiem chętnie się stanie, choć szkapy nie płochliwe i okopując ziemniaki chętnie na motyce się zeprze, patrząc się na tysiące razy widziany przejazd. A wieleż tego czasu pójdzie zmarnowanego przy bramach, furtkach, przełazach, płotach, studniach i pralniach na jałowe gawędy, lub co gorzej obmawianie bliźnich i różne plotki.

30. Marnujemy, żałując czasu, pieniędzy, słowem wszystkiego na oświatę i naukę. Najwięcej żal tego czasu, który dziecko spędzi w szkole, zamiast gęsi czy prosięta paść lub bąki zbijać. Najtrudniej zdobyć ten grosz, który na książkę lub zeszyt dla dziecka potrzebny. Nigdy niema czasu na to, aby pożyteczną książkę lub gazetę rolniczą przeczytać, niema pieniędzy, aby za nią prenumeratę zapłacić.

Przedewszystkiem zaś marnujemy pieniądz przez to, że się nam nie chce myśleć. Gdybyśmy myśleli i to nie leniwo, przynajmniej większość omówionych marnotrawstw nie byłaby popełnianą.

Wzywamy was przeto i zaklinamy, nie marnujcie tego daru Bożego, jakim jest myśl ludzka. Myślcie, zastanawiajcie się, czytajcie, uczcie, a z pewnością przestaniecie być marnotrawcami.

Ruch depozytów.

w Banku Związku Spółek Zarobkowych od 1-go stycznia do 1-go grudnia r. b. przedstawia się jak następuje:

Złożono: W styczniu 2.943.238.93 mrk., w lutym 1.804.765.11 mrk., w marcu1.740.765.35 marek, w kwietniu 3.071.877.90 mrk., w maju 1.771.642.32 mrk., w czerwcu 2.084.589.28 mrk., w lipcu 2.274.754.99 mrk., w sierpniu 1.486.508.36 marek, we wrześniu 1.614.148.14 marek, w październiku 2.500.755.06 marek, w listopadzie 1.944.893.47 mrk. Razem: 23.237.938.91 marek. W roku zeszłym do 1-go grudnia 18..820.043.56 marek.

Odebrano: W styczniu 1.506.956.85 marek, w lutym 1.470.919.28 marek, w marcu 1.971.615.05 marek, w kwietniu 2.476.451.96 mrk., w maju 2.424.788.30 marek, w czerwcu 2.718.844.69 marek, w lipcu 2.338.428.14 mrk., w sierpniu 1.478.062.52 marek. we wrześniu 1.962.594.70 marek, w październiku 1.576.629.14 marek, w listopadzie 1.762.628.97 mk. Razem: 21.687.919.60 marek.

Stan depozytów z dnia 1-go grudnia r. b. 9.784.231.60 marek. Stan depozytów z dnia 1-go grudnia roku ubiegłego 8.172.579.35 marek.

Rady i wskazówki.

Aby się kury dobrze niosły, zwłaszcza w zimie, daje się im potroszę ciasta, tak przyrządzonego: Siemię lniane i żołędzie suszy się i tłucze grubo w stępie. Tę mąkę z siemienia i żołędzi miesza się (wszystko w równej ilości) z otrębami pszenicznemi, czyli grysem, dodaje się trochę soli i zarabia z wodą na ciasto.

Sposób na krowy, niespokojne przy dojeniu. Gdy krowy nie chcą stać spokojnie przy dojeniu, pętają im zwykle nogi. Jestto jednak środek, który zwiększa jeszcze dzikość krowy. O wiele pewniejszym, a mniej szkodliwym środkiem uspokajającem jest położenie na krzyże krowy kawałka płótna, umaczanego w zimnej wodzie.

Dodatek Humorystyczny.

Dyplomacya małżeńska.

(Poradnik dla pań).

Zima, pani, już się zbliża,
Pora strojów odpowiednia;
Nowe mody są z Paryża
I fasony świeże z Wiednia
Szybko płynie za dniem dzionek,
Sukni trzeba nie na żarty —
Lecz cóż, kiedy pan małżonek
Tak, jak...*bokser* jest uparty.

Niema rady... Wystąp zbrojnie
Przeciw twierdzy niezdobytej;
Gdy w otwartej trudno wojnie,
Zwycięż, pani, w wojnie skrytej.
Mąż wciąż mówi o stagnacyi,
Ściska kieszeń swą z uporem,
Użyj chytrej dyplomacyi
Li-Hung-Czangów chińskich wzorem.

Spazmy przecież masz w zapasie,
W potrzebie ci służą nerwy,
By więc zyskać coś w tym czasie,
Choruj pani wciąż bez przerwy.
Skarż się na okropność bóli,
Wywrzej tem moralną presyę,
A mąż pewnie się rozczuli
I... na suknię da *koncesyę*.

Gdyby jednak zysku wiele
Nie wypadło z tej roboty,
Mając w myśli ważne cele,
Nie trać, pani, słów na *noty*.
Względy wszelkie puść na lasy,
Przestań łamać próżno główkę:
Prostą drogą z męża kasy
Zaanektuj stomarkówkę.

Jeźli i to nie pomoże,
Mąż wciąż stałość mą zaciekłą,
Postaw upór na uporze
I urządź mu w domu... piekło.
Tu się nie dasz zgnieść nikomu,
Mąż na strój wnet grosz pozbiera,
Bo urządzać piekło w domu
To jest twoich... *wpływów sfera*.

Krogulec.

Konserwy.

Gapski zachorował na oczy — nie bardzo zresztą niebezpiecznie. Ulegając namowie kogoś życzliwego, udał się do okulisty.

— Nie grozi panu nic wielkiego — orzekł okulista — wychodząc jednak z domu, niech pan bierze z sobą konserwy. To pana ochroni na przyszłość!

Gapski kiwnął głową potakująco z uśmiechem człowieka wielce domyślnego — położył talara i wyszedł uradowany.

A na drugi dzień znajomi Gapskiego mieli możność obserwowania go w różnych punktach miasta — z dwoma słoikami „konserw" pod pachą.

Skruszony.

U wyjścia z restauracyi, ciętego mocno Kufelkiewicza spotyka oczekująca go tu połowica.

— A ty, stary pijaku, nie wstyd ci tak wychodzić na ulicę?...! Nie wstydzisz się dnia Bożego?

— Masz racyę! — przytwierdza przekonany Kufelkiewicz — masz racyę! Wstyd mi wielki tej ulicy...

I z temi słowy znika z powrotem w restauracyi.

Chłop i filozof.

Onego czasu, lat trzydzieści może,
Zoczył filozof chłopa, który orze,
I rzeknie drwiąco temu, który orał:
— Wyorz mi morał!
Albowiem — powie — twoje kmiece plemię
Potrafi jeno żyzną orać ziemię,
Zaś nasze, mędrców mózgi, chłopie mały,
Tworzą morały!

— Poczekaj mędrcze — rzeknie chłop od żniwa,
Gdy spłodzi zboże praca nie leniwa,
Wtedy, chleb jedząc, który chłop wyorał,
Mieć będziesz morał!

Srul Łagodny.

(Z żywotów zasłużonych mężów).

Na przedmieściu Pacanowa,
Wśród żydziaków brudnych zgrai,
Przyszedł na świat, jako synek
Czcigodnego wielce Szai.
Był on snać widomym znakiem
Szczególnego niebios względu,
Bowiem w liczbie pociech Szai
Ośmnastym był już z rzędu.

Mały, suchy, chuderlawy,
Z bardzo słabem serca biciem,
Nie był stworzon do kłopotów
I do ciężkiej walki z życiem.
Kto go ujrzał już w kołebce,
Mógł prorocze wyrzec słowa,
Że działalność jego cała
Będzie wielce pokojowa.
Kiedy wyrósł na młodzieńca
I postacią stał się dzielną,
Nie chciał zmartwień mieć z akcyzą,
Ni ze strażą walczyć celną
Chociaż chodzić zwykł na *lewo*,
Prawo cenił nie po mału
I załatwiał interesy
Z pominięciem kryminału.

Gdy się, trochę opierzony,
Z rodzicielskim rozstał dachem,
Wnet *uczciwe pośrednictwo*
Zrobił swoim stałym fachem.
Miał dostatnie utrzymanie
I wciąż zyski z tego liczył,
Że przy każdym interesie
Z miłą chęcią pośredniczył.

Czy przyjezdny obywatel,
Czy mieszkaniec miasta stały,
Nikt nie zrobił bez Srulika
Operacyi w handlu małej.
On kierował ruchem handlu
I tranzakcyi dawał hasła,
Bez Srulika chłop do miasta
Nie wniósł nawet funta masła.

Srul Łagodny miał na głowie
Interesów różnych wiele:
Stręczył folwark do sprzedania,
Jak do kupna również — cielę.
W delikatnych interesach
Pośrednikiem był uczciwym,
Nie odmawiał swej pomocy
Przy towarze nawet żywym.

Dumnym z swego był zajęcia
I stał przy niem ciągle murem,
Żelaznego będąc księcia
Nieco mniejszym sobowtórem.
Bismarck bowiem ,jak wiadomo,
W rozczuleniu kiedyś szczrem,
Wyrzekł, że on niczem więcej,
Jak uczciwym jest maklerem.

Tak pracował Srul Łagodny
Wśród rodzinnych swoich łanów,
A za płodną ową pracę
Znał i cenił go Pacanów.
Miał dla jednych ostre słowa,
Zaś dla innych dygi korne;
Wiedział, jaką chodzić drogą,
By zarobić za „faktorne."

Dziś to znaczy obywatel
I mąż tuszy okazałej,
Ma podobno kapitalik
Oraz dzieci tuzin cały.
Kupna cieląt już nie stręczy
I na drobny zysk nie liczy,
Bo jedynie w większych sprawach,
Jak mecenas — pośredniczy.

Krogulec.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

ŚPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1861.

26)

(Ciąg dalszy.)

— Uspokój się, Henryku, — pocieszał Bilewski przyjaciela, — przyznaję, że to źle, że ten nędznik uciekł, bo ja sam byłbym go chętnie widział na szubienicy, ale tego już zmienić nie można!

Henryk jęknął i oparł się bezsilny o ścianę, a zimny pot wystąpił mu na czoło! Ach, on nie mógł przyjacielowi swemu powiedzieć, jakiem nieszczęściem dla niego była ucieczka Bondiego! Ale przed oczami duszy stanęła mu jego własna przyszłość, więzienie, śmierć, hańba....

— Widzę też teraz — mówił Bilewski dalej, — którędy ten nędznik uciekł. Patrz tam — dodał, wskazując na mur, — on znalazł ukryte drzwi!

— Jakie ukryte drzwi? — szepnął Henryk.

— Więc i o tych nic nie wiesz? Ależ ty nie znasz twego domu, mój kochany! Widać, że ojciec twój nie miał czasu wtajemniczyć cię w to wszystko. W tym sklepie znajdowały się od niepamiętnych czasów drzwi ukryte, które się w bardzo sztuczny otwierały sposób, i to za pomocą liczb, umieszczonych tu w tym zamku... Ale teraz nie pora tłumaczyć ci te kombinacye, idźmy czemprędzej do skarbca, bo ten łotr mógł tylko tamtędy uciekać.

Nagle zadrżał i śmiertelna bladość pokryła twarz jego. Z głuchym okrzykiem przerażenia i trwogi rzucił się na schody wiodące do skarbca i biegł tak prędko, że Henryk ledwie za nim mógł zdążyć.

— Co się stało? spytał, gdy nareszcie stanęli w skarbcu.

— Nic — nic — odrzekł Bilewski, odkrywając wieko skrzyni, — chcę się tylko przekonać, — nie, nie, tej drogi nie mógł Bondi znaleźć — inaczej byłby ujrzał koronę i —

Bilewski pochylił się, odsunął trupie gołwy — i krzyknął przerażająco.



— Ktoś tu już otwierał — korony nie ma! Ach, zabrano nam ostatnią nadzieję! — I ukrywszy twarz w rękach, głośnym wybuchnął płaczem.

— Ktoś tu już otwierał — korony nie ma! Ach, zabrano nam ostatnią nadzieję! I ukrywszy twarz w rękach, głośnym wybuchnął płaczem.

Henryk stał milczący, a szalone, rozpaczliwe myśli błąkały mu się po głowie.

Nagle podniósł się Bilewski, stanął przed Henrykiem i spojrzał mu badawczo w oczy.

— Czemu patrzysz tak na mnie? — rzekł Henryk.

— Czemu? zaraz ci to powiem! — odpowiedział Bilewski ponuro. — Otóż okłamałeś mnie! Bondi nie był wcale zamknięty w sklepie! A ty musiałeś wiedzieć o tem, że korona znajdowała się w twoim zamku. Nie mogłeś oprzeć się pokusie.....

Zdawało się, że Henryk rzuci się na przyjaciela i zabije go. Ale zapanował nad sobą i spojrzawszy z pogardą na hrabiego, rzekł spokojnie:

— Więc tak daleko już zaszło, że mój najlepszy przyjaciel podejrzywa mnie o kradzież! Ja miałbym okradać naszą biedną ojczyznę! Ach, gdybyś wiedział, jak ciężko mnie w tej chwili skrzywdziłeś!

Bilewski ujął jego ręce.

— Wybacz mi! — zawołał ze łzami w oczach, — wybacz mi, Henryku! Byłem szalony — żal mi rozum odebrał, nie wiedziałem, co mówię! Nie, nie, prędzej bym ja sam ukradł koronę! Ty jesteś najlepszym, najszlachetniejszym z ludzi! Wybacz mi!

— Wybaczę, ale pod jednym warunkiem

— Pod jakim?

— Słuchaj! Wyrzekłeś co dopiero okropne słowa podejrzenia — wiem, że żałujesz ich teraz, ale bądź co bądź — miałeś troche słuszności, bo pozory są przeciw mnie. W moim domu została korona ukradzioną — a więc moim obowiązkiem jest starać się o to, aby ją odnaleźć i oddać w twoje ręce! Dla tego przysięgam ci, że nie spocznę dopóty, dopóki jej nie odszukam, i nie ukarzę śmiercią tego, który ją ztąd zabrał. Bóg mi dopomoże bo to rzecz sprawiedliwa i słuszna, ale ty spiesz mi z pomocą gdy będę jej potrzebował. Przyrzeknij mi to!

— Z całego serca, — zawołał Bilewski, — zawołaj mnie, a przyjdę natychmiast. Ukaranie złodzieja jest odtąd naszym świętym obowiązkiem!

— Dziękuję ci!

— Sądzisz więc że tylko Bondi jest złodziejem?

— Jestem jak najmocniej o tem przekonany, to jest, jeżeli korona znajdowała się do wczorajszego wieczora w tej skrzyni!

— Tego ja właśnie nie wiem! Może skrzynia była już otwarta i Bondi uciekł, nie widząc wcale korony.

— Wątpię. Uczynił to pewnie Bondi! On jest nadzwyczaj przebiegły i sprytny!

— W każdym razie szukajmy go! I przysięgnijmy sobie, że ukarzemy nietylko jego samego, ale i wszystkich wspólników.

— Naturalnie, — zawołał Henryk z zapałem. Zabiję każdego, kto brał udział w tej kradzieży. Kto koronę przechowuje — umrze, — kto ją ukradł, — umrze, przysięgam ci to!

— Ja także, — odrzekł Bilewski. — Teraz ułóżmy kości naszych biednych męczenników i opuśćmy ten przybytek smutku!

— Nie ma tam co układać w skrzynię, — szepnął Henryk niecierpliwie — spieszmy raczej do naszego dzieła.

Kilka minut później znowu znaleźli się obydwaj przyjaciele w pokoju Henryka.

— Moje posłannictwo skończone, — rzekł Bilewski.

— Jakto, chcesz odchodzić? — zawołał Henryk.

— Tak!

— I dokąd zamierzasz się udać?

— Chwilowo chcę chodzić od chaty do chaty, od domu do domu i wzywać ludzi do obrony ojczyzny. Chodziłem już dotąd, badałem, szukałem dzielnych serc i znalazłem dużo gorących patryotów! Ale znalazełm też i takich, którzy wolą się kłaniać carowi, niż walczyć za kraj nas biedny!

— Nie spotkałeś nigdzie Adama?

— Nie, pomimo, że się pilnie za nim wszędzie oglądałem!

— Masz dosyć pieniędzy przy sobie?

— Mam, ile mi potrzeba — wiele wydawać nie mogę, bo zwróciłbym na siebie uwagę...

— Weź w każdym razie tę sakiewkę, — rzekł Henryk, podając mu woreczek z pieniędzmi, — jest tam złoto i srebro, może ci kiedy zabraknąć...

— Przyjmuję to w imieniu Polski! Nie przyrzekam, czy ci to kiedykolwiek oddam, bo Moskale wzięli mi wszystko! Jestem żebrakiem!

— Chcesz mnie po raz drugi obrazić? —uśmiechnął się Henryk, — A może potrzebujesz broni?

— Mam pistolet i sztylet, i naboji dosyć, ale przydałoby mi się trochę bielizny.

Henryk pobiegł natychmiast do szafy i ułożył zawiniątko z najlepszych swoich rzeczy.

— Teraz jestem gotów, — rzekł Bilewski. — Ach, jak chętnie szedłbym boso na koniec świata, gdybym wiedział, że spotkam tam moją rodzinę!

— Więc nic o niej nie wiesz?

— Nic! Czy jest możliwem dowiedzieć się czegoś o tych, których rząd rosyjski wygnał na Sybir? Moja biedna żona nie wytrzymała pewnie trudów podróży! Może wycieńczona upadła na stepie i umarła z głodu i zimna — może wilki ją rozszarpały..... a moja córka i wnuczka — ach, i one pewnie już nie żyją! I chociażby nawet żyły — ja im pomódz nie mogę, i wyrwać ich z tego piekła nie potrafię! Ciężkie moje życie — myślałem już nieraz o tem, aby opuścić dobrowolnie ten nędzny świat, ale jakiś głos wewnętrzny mówi mi:

— Wytrwaj! Ojczyzna potrzebuje ciebie!

I żyję i cierpię dalej!

Henryk był wzruszony do głębi serca temi słowami.

— Co do mnie, — rzekł po chwili, — to dziś jeszcze wyjeżdżam do Warszawy!

— Czyś zmysły stracił? — krzyknął Bilewski, — ty się wybierasz do Warszawy? Do jaskini lwa? Czy nie wiesz, że szukają ciebie tak samo jak Adama i mnie? Jeżeli im wpadniesz w ręce, zabiją cię natychmiast!

— Ja nie wpadnę im w ręce, — odpowiedział Henryk spokojnie. — Umiem się zmienić — posiadam dobrą maskę....

— Czego chcesz w Warszawie?

— Szukać złodzieja korony!

— Myślisz, że on tam zamieszka?

— Naturalnie! Teraz, mając taki niewyczerpany majątek, zacznie on żyć jak wielki pan i odzyska łaski Wielkiego księcia Konstantego, którego był ulubieńcem.

— Może masz słuszność, — odrzekł Bilewski, — może go tam znajdziesz! Ale zaklinam cię na wszystko w świecie, bądź ostrożnym, mój przyjacielu, i ukryj się starannie! A jeżeli go tam nie znajdziesz.....

— Wtedy dowiem się przynajmniej, dokąd pojechał i udam się natychmiast za nim!

— Więc chcesz go ścigać wszędzie?

— Chociażby i na koniec świata!

— Dobrze! A nie zapomnij wezwać mnie do pomocy! Żegnam cię teraz — może Bóg da, że się w szczęśliwszych spotkamy warunkach!

I Bilewski opuścił zamek.

— — — — — — — — — — —

Tego samego dnia wieczorem wyjechał Henryk, zabierając sanie i parę najlepszych koni.

Większą część gotówki rozdzielił pomiędzy swoich podwładnych, ale zakazał im surowo wszelkich wycieczek — aż do swego powrotu, nie chciał ich bowiem narażać na niebezpieczeństwa.

Zabrał też z sobą Leona, na którego wierności mógł teraz niezachwianie polegać.

Wyjeżdżając z domu nie zmienił jeszcze swej powierzchowności, postanowił raczej zaczekać z tem aż do zbliżenia się do Warszawy.

Jechał on dniem i nocą i odpoczywał tylko tyle, ile konie potrzebowały wypoczynku, oglądając się uważnie w wszystkich karczmach po drodze, czy nie spotka gdzie Bondiego. Ale chociaż pytał każdego, kogo spotkał, czy nie widział mężczyzny podług rysopisu barona, nie dowiedział się niczego.

Siódmego dnia nareszcie po wyjeździe z domu, stanął w jakiejś wsi, oddalonej tylko o dwie godziny drogi od Warszawy, i zajechał tu do karczmy, w której zamierzał się przebrać tak, aby go nikt nie poznał.

Zabrał on z sobą wszystko, czego potrzebował do zupełnej zmiany swej powierzchowności, a znał się na tej sztuce tak, że najwprawniejsze oko rosyjskiego szpiega nie byłoby go poznało!

ROZDZIAŁ LXIII.

Młoda wdowa.

Nie doznawszy żadnych trudności, przybył Bondi szczęśliwie do Warszawy.

Miał naturalnie koronę przy sobie i posiadał majątek wynoszący kilkanaście milionów rubli.

Mógł on się słusznie uważać za najbogatszego człowieka w Królestwie.

W Warszawie nie udał się do swego dawniejszego mieszkania, był raczej dosyć przebiegłym, aby wynająć skromny pokój na przedmieściu, od jakiejś młodej wdowy. Wobec niej nazwał się tylko Piotrem Brańskim, i odgrywał rolę podróżującego kupca, który przybył z Wiednia do Warszawy z próbkami najnowszych wyrobów fabrycznych.

Puzdro skórzane, w którem mieściła się korona, zawierało na pozór owe próbki rozmaitych materyi.

Gospodyni barona, była wdową po pewnym niemieckim mechaniku, nazwiskiem Binder. Młoda i ładna ta kobieta zaczęła pierwszego zaraz dnia ożywioną rozmowę z Bondim, i powzięła wielką sympatyą do tego wytwornego i wesołego człowieka ,poznawszy w nim na pierwszy rzut oka prawdziwego salonowca.

Należała ona do rzędu tych kobiet, które w każdym mężczyźnie widzą wielbiciela, i które dlatego niezmiernie się stawają zalotnemi. Bondi podobał jej się bardzo — i rzeczywiście, chociaż on pięknym nie był, to dystyngowane jego ruchy i postać wysoka i zręczna mogły każdą zająć kobietę.

Pani Binder pomyślała sobie zaraz, że nowy jej lokator dobrą musi być partyą.

Gdy się ściemniło, zadzwonił Bondi o lampę, a pani Binder postanowiła sama mu ją zanieść.

Do tej chwili spał Bondi, jak zabity, przebyte wzruszenia zanadto go zmęczyły. Cały dzień przepędził w łóżku, i teraz dopiero, nad wieczorem wstał, i ubrał się bardzo skromnie, stósownie do swego stanowiska.

— Nie mogłabyś mi pani przygotować trochę herbaty? — zapytał uprzejmie wchodzącej wdówki, która w jasnej, strojnej sukni wyglądała bardzo powabnie.

— Ależ bardzo chętnie, — odrzekła pani Binder, — rozkaz pan tylko — co mam przynieść, w przeciągu dziesięciu minut wszystko będzie gotowe!

— Więc herbaty, trochę zimnej pieczeni i kawioru. Weź pani te dwa ruble, myślę, że wystarczy!

Bondi wyjął portmonetkę i chciał jej podać pieniądze, ale wdówka zarumieniła się i podniosła rękę.

— Co pan sobie myślisz, — zawołała z pozornem oburzeniem, — czy chcesz mnie koniecznie zawstydzić?

Przecież mieszkasz u mnie — sądzę więc, że najlepiej będzie, jeżeli pan co cztery tygodnie płacić mi będziesz — na miesiąc udzielam kredytu, — dokończyła z uśmiechem.

Bondi niezmiernie był z tego zadowolony — pieniędzy nie wiele miał przy sobie, a brylantów z korony jeszcze dotąd nie sprzedał. Schował więc znowu owe dwa ruble i zgodził się na propozycyą pani Binder.

Po upływie kwadransa stało rzeczywiście śniadanie, bardzo spóźnione, na stole. Uprzejma gospodyni poszła po nie sama i ułożyła wszystko bardzo zręcznie i apetycznie.

— Podczas kiedy pan będziesz jadł, — rzekła, — pozwolisz mi uprzątnąć nieco twój pokój. Kobieta zna się lepiej na tem ,niż mężczyzna. Może pana kto odwiedzić — pokój musi więc być uporządkowany!

— Do mnie goście nie przychodzą, — odrzekł Bondi — nie znam nikogo w Warszawie i muszę dopiero zawiązać stosunki z mymi odbiorcami.

— Jakie materye pan właściwie sprzedajesz? — zapytała ciekawa gospodyni, chcąc się koniecznie dowiedzieć bliższych szczegółów, tyczących jej lokatora. Nie można było przeczuwać, co się w przyszłości stać może. Taki przystojny i młody jeszcze mężczyzna... — — —

— Jedwabne i wełniane, — odrzekł Bondi nie zmieszany.

— Bardzo to dobry interes, suknie zawsze kupować trzeba.

— Tak, ale konkurencya jest zbyt wielka!

Bondi zabrał się teraz do jedzenia, a że niezmiernie był wygłodzony, przeto zajadał z wielkim apetytem.

— Próby masz pan w tem skórzanem pudle? — pytała gospodyni dalej, wskazując na puzdro z koroną.

— Tak jest!

— Ależ to musi być okropnie dla pana, tak jeździć ciągle! Nie być nigdy w domu! W końcu znudzi się to panu, nieprawdaż?

I piękna wdówka westchnęła ciężko.

— Chwilowo bardzo jestem z tego zadowolony, — odrzekł Bondi. — W podróży dużo poznaję ludzi, a przedewszystkiem mam sposobność, — dodał z znaczącem spojrzeniem, — spotykania pięknych kobiet!

— Ach, jakie pan umiesz prawić komplementa, — zawołała wdówka zarumieniona, grożąc mu zalotnie białym paluszkiem. — Myślę, że masz w tym kierunku bardzo wiele znajomości. Ale tacy to są mężczyźni, każdej kobiecie powiedzą jakąś grzeczność, a nigdy na seryo rzeczy nie biorą!

Bondi pragnął koniecznie pozyskać zaufanie pani Binder i znaleść w niej sprzymierzeńca, wstał więc, zbliżył się do niej i ujął jej rękę, której mu nie wyrywała.

— Bawimy się z wszystkiemi, — szepnął, patrząc czule w jej oczy, — ale jedną tylko kochamy, i to tę, którą zaślubić pragniemy!

— Ach!

— Tak jest! Masz pani słuszność — jestem zmęczony ciągłem jeżdżeniem po świecie, i życzyłbym sobie gorąco mieć dom i rodzinę. Ale na to trzeba mieć pieniądze. Gdybym je miał, otworzyłbym sam handel, dopóki jednak obcym służę panom, nie mogę sobie nic odkładać.....

— Więc powinien się pan ożenić z kobietą, posiadającą trochę pieniędzy! Pojęcie majątku bardzo jest względne, ale ja myślę, że dziesięć tysięcy rubli, to już wcale pokaźna suma!

— O tak, z tem możnaby już coś rozpocząć!

— Mój mąż zostawił mi tyle, — szepnęła pani Binder rumieniąc się znowu, — a ja żyłam tak oszczędnie, że kapitału nie naruszyłam. Przeciwnie, dołożyłam jeszcze trochę procentów do kapitału!

— Ach, to pani umiesz żyć oszczędnie! Jakie szczęście mieć taką żonę!

— Mężczyźni na to wcale nie zważają. Najlekkomyślniejsze dziewczęta dostawają najlepszych mężów!

— A jeżeli kobieta jest w dodatku tak piękną jak pani, — zawołał Bondi, całując jej rękę, — to dziwiłbym się bardzo, gdyby nie miała dostać męża takiego, jakiego sobie życzy!

— Doprawdy? Mówisz pan to na seryo? — szepnęła pani Binder niezmiernie uszczęśliwiona.

Bondi, zamiast odpowiedzieć objął jej zręczną postać i przycisnął ją do serca.

— Ach, co pan robisz? — zawołała wdówka zmieszana. — Tak daleko nie jesteśmy jeszcze, ja jestem uczciwą kobietą, ale — możemy się bliżej poznać i porozumieć, nieprawda? A teraz muszę wracać do mego pokoju — mam jeszcze to i owo do załatwienia i nie chcę, aby nas tam z drugiej strony ulicy obserwowano. Ludzie są złośliwi i lubią plotki.

I w następnej chwili już jej w pokoju barona nie było.

— Dziesięć tysięcy rubli, — pomyślał Bondi, — muszę sobie trzymać tę wdowę w rezerwie, bo kto wie, czy nie będę nagle potrzebował większej sumy! Brylantów z korony nie tak łatwo będzie można sprzedać — osobno wyłamywać ich nie chcę, bo stracą na wartości. Ale zanim znajdę nabywcę na całą koronę, minie dużo jeszcze czasu, trzeba mi się więc postarać o trochę gotówki, i na to właśnie przyda mi się ta ładna wdówka!

Potem ubrał się Bondi, aby iść do najbogatszego lichwiarza w Warszawie i ofiarować mu koronę. Lichwiarzem tym był żyd, Efraim Marcillos — był on zarazem bankierem i załatwiał sprawy pieniężne Wielkiego księcia Konstantego.

Był to jedyny człowiek w mieście, który mógł koronę kupić, ale Bondi nie zupełnie mu dowierzał, obawiając się zdrady. Pocieszało go jedynie to, że żyd, chciwy zarobku, kupi klejnot, i wypłaci mu mniejszą sumę, niż brylanty rzeczywiście były warte, ale jemu chodziło głównie o gotówkę. Lepiej jeden milion stracić, byle mieć pieniądze natychmiast wypłacone. W każdym razie zostawało mu dosyć na całe życie, bo spodziewał się otrzymać co najmniej z dziesięć milionów rubli. —

Gdy był gotowy z ubraniem, wziął pudło z koroną i wyszedł do sieni. Wyglądał on rzeczywiście tak, jak kupiec podróżujący z próbkami towarów.

W sieni spotkał panią Binder.

— Pan wychodzisz? — zapytała.

— Tak!

— Bądź pan tylko ostrożny, jest tu tyle oszustów, którzy wezmą towar i nie zapłacą go...

— O, bądź pani spokojna, ja znam ludzi i nie dam się oszukać.

— O której pan wrócisz? — badała piękna wdówka.

— Nie wiem.....

— Mam czekać na pana? Może byłoby panu przyjemnie, gdyby lampa stała w sieni.... ja czekać będę..... — szeptała, spuszczając oczy.

Bondi pochylił się i pocałował ją w usta.

— Czekaj, — szepnął — wrócę prędko do ciebie!

— Kiedy?

— Jak tylko załatwię interesa! Powiedz mi, jak ci imie, najdroższa?

— Róża!

— Więc bądź zdrowa, Różyczko, i myśl o mnie!

Piękna Róża położyła rękę na sercu i westchnęła, patrząc czule za odchodzącym wielbicielem.

Bondi uśmiechał się zadowolony.

— Tej mogę być pewnym — myślał — ona wszystko już teraz uczyni dla mnie! Nie wiem, jak się sprawy moje tu pokierują, w każdym razie dobrze mieć taką — przyjaciółkę!

Na ulicach zupełnie już ciemno było, a że oświetlenie Warszawy wiele wówczas pozostawiało do życzenia, przeto zdołał Bondi wyjść niepostrzeżony na ulicę, szeroką i pełną wspaniałych kamienic.

Przed jedną z nich, najpiękniejszą, stanął.

Było to mieszkanie bankiera Marcillosa.

Jak samo nazwisko wskazuje, był Marcillos cudzoziemcem. Pochodził on z Hiszpanji i uważał się sam za arystokratę żydowskiego, tak jak wogóle wszyscy żydzi hiszpańscy. Jakie losy go do Polski przywiodły, jakim sposobem zdołał zająć w Warszawie wysokie stosunkowo stanowisko, tego nie wiadomo. Efraim należał do tych ludzi, którzy w najrychlejszej młodości postawią sobie jakiś cel i dążą do niego, nie zważając na żadne przeszkody. Chociażby przez trupy, byle dojść do tego, do czego dojść pragną.

Przeszłość tego człowieka pokryta była tajemnicą, jego najszczersi przyjaciele nie wiedzieli, czem był i co robił do trzydziestego roku swego życia, w jakim kraju przebywał i jakie przykrości znosił.

Tyle tylko było wiadome, że pewnego dnia ukazał się Marcillos w Warszawie, z podartemi na nogach butami i ubraniem, które nie mogło w ludziach wzbudzać zaufania. W kieszeni nie miał ani grosza.

Mieszkał on wówczas u jakiegoś biednego żyda, jadał obiady codziennie u kogoś innego, i wysługiwał się jak umiał bogatszym współwyznawcom. W końcu udało mu się pozyskać łaski rabina i od tego czasu zmieniły się losy jego na lepsze.

Nie trwało długo, a Marcillos miał porządniejsze ubranie, to zaś dodało mu tyle odwagi, że rzucił się od razu w zamęt życia warszawskiego i wypłynął na wierzch, podczas kiedy inni marnie zginęli.

Założył też wnet mały sklepik, skupując szmaty i odpadki wszelkiego rodzaju. Sprzedawał to wszystko do fabryki papieru, a ludzie twierdzili, że znalazł raz w starych łachmanach jakiś dokument, zawierający bardzo ważną tajemnicę.

Bądź jak bądź, — Marcillos miał nagle dużo pieniędzy i kupił jednę fabrykę papieru, tę właśnie, której poprzednio dostarczał szmatów. Rozwinął on przytem taką inteligencyą, że zwyciężył wkrótce wszystkich współzawodników i zakupił zwolna wszystkie fabryki. Pracował teraz sam, a sława jego rozniosła się tak prędko, że nawet Rosya zamawiała u niego papier na banknoty.

Papier ten musiał być przygotowany z wielką starannością, tak, aby go już nikt inny naśladować nie potrafił.

jakie z niego fabrykowano, zdawały się rzeczywiście być arcydziełem. Mówiono ogólnie, że takiego papieru nikt w świecie naśladować by nie mógł.

Ale dwa lata później ukazało się mnóstwo fałszywych banknotów i to przeważnie w Galicyi, we Włoszech i Hiszpanii. Rząd rosyjski musiał wykupić pieniądze, których nie wydał.

Policya nigdy nie zdołała wykryć fałszerzy, a co najdziwniejsza, że rząd wcale się na Marcillosa nie gniewał o to, że przestąpił zakaz fabrykowania papieru potrzebnego do fabrykowania banknotów. Przeciwnie, Marcillos dostarczał zawsze jeszcze tyle papieru, jak dawniej, i fałszywe banknoty mnożyły się spokojnie dalej. Wkrótce jednak sprzedał Efraim swoje fabryki towarzystwu akcyjnemu i przywilej wyrabiania papieru na banknoty nie przeszedł na nabywców.

Teraz otworzył Marcillos na najgłówniejszej ulicy w Warszawie dom bankowy i odtąd dopiero zaczyna się jego świetne powodzenie!

Wielki Książę Konstanty oddał mu zaraz wszystkie swoje pieniężne sprawy, a przebiegły żyd handlował wszystkiem, co mu w ręce wpadło. Nie było też żadną tajemnicą, że pożyczał pieniądze na ogromne procenta, ale rząd pozwalał mu na wszelkie wybryki. Marcillos rujnował polską arystokracyę, i to było największą zasługą w oczach Moskali.

Obecnie liczono majątek jego na pięćdziesiąt milionów rubli, ale miał on pewnie więcej! Bogactwa jego były prawie nieobliczone.

Marcillos ożenił się z córką owego rabina, który go pod swoją wziął opiekę i któremu wszystko zawdzięczał, a po dziesięcioletniem pożyciu urodziła mu się córka. Na pamiątkę swego hiszpańskiego pochodzenia dał córce imię Carmen, a obecnie zaś była to jedna z najpiękniejszych panien w Warszawie.

I wyglądała ona rzeczywiście nie jak żydówka, tylko jak Hiszpanka, z swemi czarnemi włosami, ognistemi oczami, ślicznemi czerwonemi ustami i białą, lekko zaróżowioną twarzyczką.

ROZDZIAŁ LXIV.

Lichwiarz warszawski.

W biurach bankiera Marcillosa było jeszcze jasno i urzędnicy pracowali w najlepsze, gdy Bondi wszedł do sali, w której zamieniano pieniądze. Po kilku minutach wstał jeden z młodych ludzi, zajętych pisaniem i zapytał uprzejmie, czego sobie życzy —

— Chciałbym się widzieć z panem Marcillos, — odrzekł Bondi.

— Żałuję bardzo — ale pan Marcillos nie przyjmuje nikogo, — zawołał młodzieniec. — Jeżeli pan masz mu coś do powiedzenia, to proszę mu napisać, o co chodzi, a on potem oznaczy czas, w którym pana przyjmie. Naturalnie — jeżeli sprawa ta będzie mu się wydawała dosyć ważną!

— Ale ja chcę się widzieć teraz z nim — natychmiast.

— Powtarzam panu, że to niemożliwe, bo pan Marcillos wybiera się właśnie z żoną i córką do teatru.

— Powiedz mu pan, że chcę się z nim widzieć. Żona i córka mogą jechać same do teatru.

Młodzieniec z politowaniem spojrzał na barona, był on przekonany, że to szaleniec jakiś.

— Przekonaj pan się, — rzekł łagodnie, — ekwipaż już zajechał — państwo wsiądą zaraz — nie możesz przecież żądać, aby się pan Marcillos dla ciebie miał pozbawić przyjemności wysłuchania pięknej opery!

— Owszem, żądam tego, — odpowiedział Bondi spokojnie i wyszedł z sali.

I stanąwszy teraz koło głównych drzwi na dole, patrzał z zajęciem na wspaniałą karetę i piękne konie. Wszystko tam lśniło od złota, i uprząż i kareta, a konie warte były tysiące!

Przed laty biegał Marcillos sam, pieszo po ulicach, po błocie i śniegu, dziś nie ruszał się nigdzie bez karety, i służby! —

Nareszcie otworzono złoconą bramę i dwie panie wyszły z domu.

Jedna z nich, w granatowej aksamitnej sukni i płaszczu, obszytym kosztownem futrem, była panią Marcillos, żoną bankiera, druga, w białych jedwabiach i koronkach, córką jego, piękną Carmeną. Okrycie jej, nieco fantastyczne, podobne było do hiszpańskiej mantylki, z pod której wychylały się czerwone róże, przypięte do białego stanika.

Zaraz za paniami wyszedł pan Marcillos. Był to mężczyzna dosyć już stary, nizki, otyły, ale o twarzy bardzo jeszcze pięknej i inteligentnej.

— Spieszmy się, — przyjedziemy za późno.....

Służący otworzył drzwiczki karety, obie panie zajęły miejsca i bankier zamierzał też już wsiadać, gdy nagle zbliżył się Bondi do niego.

— Pan Efraim Marcillos? — zapytał, zdejmując kapelusz.

— Tak — czego pan chcesz odemnie?

— Chciałbym załatwić z panem pewien interes.....

— Idź pan do biura i rozmów się z mymi urzędnikami!

— Nie, ja muszę z panem bez świadków pomówić — szepnął Bondi, niezrażony chłodnemi słowami bankiera. Zauważył też przytem, że Carmen patrzała na niego z widocznem zajęciem.

— Ze mną — bez świadków — roześmiał się bankier szyderczo. — Mój kochany, zamierzam właśnie jechać do teatru, ale jeżeli sprawa twoja jest tak ważną, to przyjdź jutro. Może będę cię mógł przyjąć, chociaż nic nie przyrzekam....

— Pan nie pojedziesz do teatru! Musisz mnie przyjąć natychmiast!

— Mój panie, albo jesteś szalonym albo bezczelnym!

— Jestem baron Bondi!

Marcillos cofnął się zdumiony. Znał on to nazwisko, wiedział, że baron Bondi był ulubieńcem Wielkiego księcia i że niegdyś ważną na dworze jego odgrywał rolę.

— Wybacz pan — rzekł uprzejmie, — że byłem taki szorstki. Ale moja żona i córka siedzą już w karecie i czekają na mnie — najwyższy czas.

— Tak jest, najwyższy czas — powtórzył Bondi cicho, — abyś pan nareszcie rozmówić się ze mną zechciał, inaczej pójdę do kogo innego. Mnie obojętne, kto zarobi miljony.

— Więc chodź pan — zawołał Marcillos. — Idź do mego biura, ja tam zaraz przyjdę!

Bondi obrócił się i wszedł znów do sieni, ale tak, aby mógł słyszeć to, co bankier mówił do żony.

— Moje drogie — zawołał Efraim — jedźcie dziś same do teatru, ja tu mam ważny interes do załatwienia. Jeżeli zdążę, przyjadę później!

Pani Marcillos wypełniała bez szemrania wszystkie rozkazy męża. Nie pytała o nic, a zanadto była żydówką, aby usłyszawszy o „interesie,“ miała stawić mężowi jakieś trudności.

Ale Carmen była niezadowoloną.

— Myślę papo, — rzekła, podnosząc hardo swoją śliczną główkę — że miałbyś już dosyć tych interesów. Jesteś dosyć bogatym, aby nie pracować dłużej! Kto jest ten człowiek, który przed chwilą z tobą rozmawiał?

— Baron Bondi, — wytworny i...

— Wytworny — może — przerwała Carmen, — ale nie ładny, ma on złe spojrzenie! Nie podoba mi się! Strzeż się papo, aby on cię w nieszczęście nie popchnął!

Marcillos roześmiał się, zamknął sam drzwiczki karety i wbiegł czemprędzej do biura, w którem Bondi już teraz na niego czekał.

— Widzisz mój drogi baronie — zaczął Marcillos, zrzucając płaszcz, — że wielką dla ciebie ponoszę ofiarę! Tak się cieszyłem na dzisiejsze przedstawienie w teatrze i dla pana musiałem go się wyrzec.

— Może rozmowa nasza nie potrwa długo — odrzekł Bondi, stawiając puzdro obok siebie. — Jeżeli pan jesteś rzeczywiście takim genjuszem, za jakiego cię świat uważa, to wystarczy ci jedno spojrzenie na ocenienie interesu, jaki ci ofiaruję.

— Na czem polega ten interes? — zapytał Marcillos zaciekawiony.

— Na zakupieniu kosztownych klejnotów!

— Z czego się one składają?

— Z złota, brylantów, oraz innych drogich kamieni.

— Ja takich rzeczy nie kupuję! Musisz pan iść z tem albo do złotnika albo do lombardu.

— Myślisz pan, że w Warszawie jest ktoś, kto mi da dwadzieścia lub trzydzieści miljonów?

— Tyle pieniędzy?

Bankier zerwał się z krzesła i patrzał na barona tak, jak gdyby powątpiewał o jego zmysłach.

— Wybacz pan — rzekł po chwili — ale zdaje mi się, że w całej Warszawie nie ma brylantów za trzydzieści milionów rubli. Wątpię zaś, czy pan masz wszystkie brylanty warszawskie do sprzedania!

— Skończmy już — zawołał Bondi niecierpliwie, — nie chcę pana dłużej zwodzić — otóż klejnot, za który tyle żądam pieniędzy, znajduje się tu — w tem pudle!

Bankier obejrzał się za dzwonkiem, myślał bowiem, że będzie musiał zadzwonić na służbę, aby kazać wyprowadzić tego obłąkanego.

Ale i Bondi wstał, i kładąc rękę na puzdro, rzekł uroczyście:

— Panie Marcillos, w tem pudle znajduje się korona polska!

I nacisnąwszy sprężynę, otworzył puzdro, a zdumiony Marcillos patrzał w niemym zachwycie na lśniące złoto i niezliczoną ilość brylantów, na arcydzieło zdradzieckiego Włocha.

Potem zerwał się szybko i pobiegł do drzwi, aby je zamknąć na klucz. Za nic w świecie nie byłby tu wpuścił kogokolwiek bądź — chociażby własnej żony lub córki! Obejrzał nawet jeszcze okna, czy dobrze zasłonięte i teraz dopiero wrócił, aby napawać oczy widokiem tych cudów!

Czegoś podobnego nigdy jeszcze nie widział! Było to coś nadziemskiego, bajecznego, o czem nikt nie widząc tego, nie mógł mieć pojęcia!

— Polska korona, — rzekł nareszcie zamyślony. — Tak, to musi być ona, tyle kamieni i pereł nie zebranoby już dzisiaj! Jest ona warta więcej niż trzydzieści milionów! Ale powiedz mi pan najważniejsze — jakim sposobem dostała się ona w ręce pana?

— Na to zapytanie, — odrzekł Bondi spokojnie, — odpowiedzieć nie mogę! Zresztą powinieneś pan to odgadnąć. Korona zginęła — ja ją znalazłem i dla tego stała się moją własnością!

— Pana własnością? — powtórzył Marcillos wolno. — Wątpię bardzo! Jeżeli pan ją znalazłeś, to powinieneś ją oddać rządowi rosyjskiemu, otrzymałbyś za to wysoką nagrodę! Ale własnością twoją korona ta nie jest wcale!

— Zapewne, tylko, że byłbym głupim, oddając ją rządowi. Pan też inaczej nie postąpiłbyś!

— Może, może bym tak samo uczynił, mianowicie gdybym przezwyciężył strach przed odkryciem, bo pan wiesz, że ten, kto zatrzymuje sobie własność rządu, niezmiernie ostro bywa karanym! Mogą go nawet na Sybir posłać!

— Nie przyszedłem do pana po to, aby się sprzeczać o prawa i przepisy rządu. Korona jest moją i pytam pana, czy chcesz ją kupić, czy nie. Daj mi pan za nią piętnaście milionów, mówiłeś sam, że warta trzydzieści!

— Piętnaście milionów! — krzyknął Marcillos, — czy pan myślisz, że ja taką sumę mam pod ręką?

— O tak! Jedno słowo tylko, a jutro mam pieniądze! Wiem, że pan obracasz milionami tak, jak inny setkami. Dla pana nie ma wogóle trudności pieniężnych!

— To prawda, — odrzekł Marcillos z pewną dumą, — jeżeli chcę, mam jutro sto milionów! Ale.....

— Żadnego ale! Chcesz pan kupić koronę, albo nie?

Marcillos ciężką z sobą staczał walkę. Z jednej strony nęciły go miliony, z drugiej ukazywał się Sybir.....

— Słuchaj pan, — zawołał po chwili namysłu, — nie możesz żądać, abym się natychmiast zdecydował na kupienie tej kosztowności! Piętnaście milionów, to olbrzymia suma, której nie mogę wyrzucić bez rozważenia sobie tej sprawy. Ale nie odmawiam — przeciwnie, sądzę, że załatwimy tę sprawę ku naszemu zadowoleniu. Dam panu dwanaście milionów — przyjdź pojutrze.....

— Nie, — rzekł Bondi, — ja tak długo czekać nie mogę!

I zamknął puzdro.

— Czekaj pan — krzyknął Efraim, drżąc z chciwości, — przecież nie mówię, że korony tej nie kupię — ale daj mi czas do namysłu, nic nie nagli — czekaj do jutra. — —

— Powiem panu zupełnie otwarcie, — zaczął teraz Bondi, — że przyszedłem do pana, bo mam do ciebie zaufanie. Ja wiem, że pan mnie nie zdradzisz, i że zbyt jesteś dobrym kupcem, aby nie zrobić tak świetnego zakupna. Możesz zarobić miliony i żądasz dwóch dni do namysłu? Czy chcesz mnie zdradzić wobec rządu, czy zadenuncyować wobec Wielkiego księcia Konstantego?

Marcillos poruszył głową.

— Cóżbym ja miał z tego, — rzekł. — Nie zarobiłbym nic! A zresztą cenię honor kupiecki i nie zdradzam niczyjego zaufania!

— Wierzę panu i dla tego ustąpię — chociaż głos jakiś wewnętrzny odradza mi tego. — Poczekam do jutra — wieczorem przyjdę tu znowu! Ale do tego czasu musisz pan mieć najmniej dwanaście milionów w gotówce, resztę, bo musisz mi dać piętnaście, wezmę później.

— Więc do jutra! Jeżeli mi więcej czasu do namysłu dać nie chcesz..... Jutro urządzam bal — córka moja kończy lat siedemnaście, i z tego powodu zaprosiłem całe prawie wyższe towarzystwo..... Aby zaś bytność pana w moim domu nikomu nie podpadła, zapraszam pana także na ów bal. Możemy potem rozmówić się dokładnie o naszej sprawie i jeżeli się zgodzimy, wypłacę pieniądze natychmiast!

— Przyjdę z pewnością, — rzekł Bondi, — ale korony przynieść z sobą nie mogę. Cóżby służba powiedziała na to, że jeden z gości przychodzi na bal z takiem skórzanem puzdrem!

— Ale po zawarciu układu pójdziesz po nią i przyniesiesz ją tutaj. Gdzie pan mieszkasz?

— Wynająłem pokój na przedmieściu, — odrzekł Bondi otwarcie, — bo nie chciałem, aby mnie znajomi spotkali. Mieszkam u pewnej wdowy, pani Binder, na Pradze. Tam dotąd możesz mi pan przysłać wszelkie wiadomości, gdyby tego była potrzeba.

— Dziękuję panu, — rzekł Marcillos, podając mu rękę. — Ale prawda — jeżeli pan nie masz pieniędzy przy sobie, to ja chętnie dam coś na zaliczkę. Koronę kupię przecież, więc mogę dać panu kilka tysięcy rubli już dzisiaj. Zgoda?

— Nie, dziękuję, — zawołał Bondi żywo, — jestem zaopatrzony w pieniądze!

Nie miał on nic prawie, wolał jednak pożyczyć od pani Róży, niż oddać się w ręce tego lichwiarza.

— Żegnam pana, — rzekł z ukłonem, — jutro będę tu na balu!

Marcillos wyprowadził gościa aż na schody i zaraz po odejściu jego zadzwonił na służącego.

— Zawołać mi natychmiast Jankefa, — rozkazał.

Po upływie kilku minut wsunął się do pokoju nędznie ubrany młody żyd.

— Jankef, — rzekł Marcillos, — pozamykaj starannie drzwi i okna, i pójdź potem tu, do mnie!

Żyd wypełnił rozkaz i zbliżył się nieśmiało do swego pana.

— Słuchajno, — zaczął Marcillos cicho, — potrzebuję twych usług! Musisz mi dowieść ,że zasługujesz na to, aby być moim najwierniejszym szpiegiem i donosicielem.

— Jestem ci zawsze wiernym i oddanym! — odrzekł Jankef pokornie. — Rzucisz mi zapytanie na ulicę — nu, ja idę i znajduję odpowiedź! Ja wiem wszystko, ale tylko dla siebie i dla mego pana!

— Wiem, że ci zaufać mogę, i dla tego chciałbym, abyś się wszystkiego szczegółowo dowiedział o wdowie Binder, mieszkającej na Pradze. Muszę wiedzieć, czy ona jest bogatą, czy biedną, czy młodą i ładną, a przedewszystkiem, w jaki sposób możnaby ją przekupić. Ale dowiedz się o tem w przeciągu trzech godzin! Dowiedz się, jak leżą pokoje — szczególniej ten, w którym mieszka pewien baron. I kto oprócz niej jeszcze w tym domu mieszka!

— Dobrze!

— Ale to nie koniec! Przedewszystkiem chodzi mi o to, gdzie ów baron dzisiejszą noc przepędzi — o tem musisz mi jutro rano powiedzieć. Potrzebujesz pieniędzy, Jankef?

— Nie można wiedzieć, czy nie będę miał jakich niespodziewanych wydatków!

— Więc bierz ten worek z złotem, ale wyliczysz mi każdy grosz, który wydasz!

Marcillos rzucił mu sakiewkę pełną dukatów i wskazał drzwi.

— Zaraz, — rzekł Jankef, — chciałbym tylko jeszcze nadmienić, że ja dopiero jutro rano zdam sprawę z wszystkiego osobiście. Co do wdowy Binder to przyślę za trzy godziny zapieczętowany list, w którym doniosę o wszelkich szczegółach, tyczących się tej pani.

— Rób co chcesz! Ale spiesz się, może dogonisz jes

cze barona, wracającego teraz na Pragę. Ma on przy sobie duże puzdro skórzane — potem poznasz go zaraz!

Jankefa już nie było w pokoju, miał on dar ukazywania się i znikania, jak duch!

Bankier uśmiechał się wesoło.

— Teraz mój baronie, — pomyślał, — nie ujdziesz mi już! Jankef nie spuści cię z oczu! Korona warta dobrze z piędziesiąt milionów, ale ty nie dostaniesz ani grosza! Ja otrzymam miliony, a ty pójdziesz na Sybir, braciszku!

A potem spojrzał na zegarek, poczesał się i zadzwoniwszy, kazał zajechać karecie.

Dziesięć minut później siedział w loży, w której już była jego żona i córka, i słuchał z zajęciem pięknego śpiewu na scenie.

ROZDZIAŁ LXV.

Poskramiacz wężów.

Wyszedłszy z domu bankiera, wynajął Bondi powóz i kazał się szybko zawieść na Pragę, a siedząc wygodnie na miękkich poduszkach, mówił sobie w duszy.

— On mnie chce oszukać! Czytałem to w jego fałszywych oczach, wiem już, co on zamierza uczynić. Nie napróżno zaprosił on mnie na jutrzejszy bal — pragnąc mnie tym sposobem zmusić do zostawienia korony w domu. I podczas kiedy będę na balu, napadnie on dom wdowy i porwie mój skarb... Ale ja go schwytam w własne jego sidła! Możesz być genjalnym kupcem, mój Marcillosie, ale baron Bondi jest mędrszym od ciebie! I biada ci, jeżeli domysły moje sprawdzą się! Zemściłbym się w okropny sposób za twoją chęć podejścia mnie!

Powóz stanął teraz przed domem pani Binder i kilka minut później znajdował się Bondi w małym, zacisznym saloniku młodej wdówki.

Róża ubrana w jasną strojną suknią wyglądała rzeczywiście zachwycająco i gdyby Bondi nie był miał głowę zajętą ważniejszemi sprawami, byłby się zpewnością w niej zakochał.

Ale obecnie musiał działać szybko, aby uprzedzić bankiera.

Przedewszystkiem chodziło o ukrycie korony tak, aby jej nikt znaleść nie mógł, nawet w razie przeszukiwania pokoji. Do tego jednak potrzebował bezwarunkowo pomocy Róży.

Przycisnął ją więc do serca i ucałował gorąco czerwone usta.

— Tak długo nie wracałeś — szepnęła — czekałam i czekałam na ciebie, ale teraz jestem szczęśliwą, że mam się nareszcie przy sobie! Czy spotkała cię jaka przykrość? Taki jesteś smutny i zamyślony! Może się rozweselisz, gdy zjesz ze mną kolacją! Patrz, przygotowałam stół dla nas obojga!

Na środku saloniku stał rzeczywiście stoł zastawiony sutą kolacją. Nawet dwie butelki wina znajdowały się pomiędzy licznemi półmiskami i talerzami.

Bondi postawił pudło koło swego krzesła i zabrał się do jedzenia.

Stał się teraz tak wesołym i dowcipnym, tak czule spoglądał na Różę, że młoda kobieta zachwycała się coraz to więcej swoim wielbicielem, nazywając go już w duszy narzeczonym i układając najpiękniejsze plany na przyszłość.

Po kolacji usiedli oboje na kanapie i Bondi, objąwszy postać Róży, przyciągnął ją lekko do siebie.

— Różo najdroższa — rzekł — samo niebo złączyło nas widocznie! Ale my nie możemy dłużej pozostać w Warszawie. Przyznam ci się teraz, że nie przybyłem tu po to, aby sprzedawać jedwabne i wełniane materje, nie — ja jestem artystą, rzeźbiarzem i znajduję się chwilowo w bardzo dziwnem i przykrem położeniu.

— Ty jesteś artystą! — zawołała Róża uszczęśliwiona. — Ach, ja zaraz myślałam, żeś ty czemś lepszem, niż prostym kupcem podróżującym! I pokochałam cię od razu!

— Jesteś aniołem! — szepnął Bondi z zapałem, — sądzę też, że będziemy bardzo szczęśliwi, gdy się kiedyś pobierzemy!

— A nastąpi to kiedykolwiek?

— Prędzej może, niż myślisz! Musisz mi tylko pomódz w ukrywaniu się przed moimi wrogami!

— To ty masz nieprzyjaciół?

— I nieprzyjaciół i zawistnych! Który z nas artystów nie miałby ich! Słuchaj, jak się ze mną stało, opowiem ci to w kilku słowach: Żyłem dotąd w Petersburgu — miałem tam moją pracownią i cieszyłem się sławą i sympatyą wszystkich moich znajomych. Ale poznałem na nieszczęście pewną młodą kobietę, żonę księcia — ah, nazwisko nic tu nie znaczy!

Nie marszcz czoła, najdroższa, nie patrz na mnie tak smutnie, przysięgam ci, że pomiędzy księżną a mną nie zaszło nic, czegobyś ty widzieć nie mogła. Nie potrzebujesz więc wcale być zazdrosną o nic! Uwielbiałem ją wprawdzie, ale dla tego jedynie, że miała postać, o jakiej marzyć może każdy artysta, a której by jej bogini pozazdrościła!

Po zwyciężeniu wielu rozmaitych przeszkód udało mi się spotkać księżną i rozmawiać z nią, gdy wychodziła z kościoła. I błagałem ją na wszystko w świecie, aby mi pozwoliła wyrzeźbić jej popiersie, którego tak bardzo potrzebowałem do posągu Wenery.

— Wenery — szepnęła wdówka, rumieniąc się — czemu to miała być konieczine Wenera! I jeszcze popiersie jej! Jakże tu nie być zazdrosną?

Bondi udawał, że nie słyszy tych słów i mówił zaraz dalej:

— Księżna oburzyła się niezmiernie i odmówiła mej prośbie, ale gdy nie przestawałem błagać, zgodziła się nareszcie na wszystko i przyrzekła przyjść do mej pracowni, naturalnie w towarzystwie garderobianej. Pochlebiało jej to jednak bardzo, że artysta chce wziąść z niej model.

— Tak, tak — zawołała Róża, — wiem już, na czem się to skończyło. Garderobiane znikają zawsze, gdy tego potrzeba, znam ja takie historje!

— Ależ Różo....

— Opowiadanie twoje rozdrażnia mnie okropnie, czemu wogóle zaczynałeś o tem.....

— Musiałem to uczynić, abyś zrozumiała prośbę, jaką mam do ciebie!

— Więc dalej.

— Otóż księżna przyszła, pozowała mi, i stworzyłem — Wenerę! Dotąd wszystko było w porządku, ale książę dowiedział się o tem i popadł w straszliwy gniew!

— Rozumiem go doskonale, — wtrąciła znowu Róża, — nie musiała mu być przyjemną myśl, że każdy może oglądać biust jego żony.

— Dlatego chciał mi go koniecznie wydrzeć! Najpierw przysłał pośredników, którzy ofiarowali mi w jego imieniu znaczną sumę pieniędzy za odstąpienie mego dzieła, ale odmówiłem im, nie chcąc za żadne pieniądze oddawać mego skarbu. Więc książę wziął się na inny sposób.

Przekupił mego służącego i kazał mu rozbić popiersie, ale służący był mi wierny i zdradził mi zamiary księcia. Potem przysłał do mej pracowni opryszków, wówczas jednak znajdowało się popiersie w bezpiecznem już ukryciu. Widząc, że w żaden sposób do celu nie dojdzie, zadenuncyował mnie rządowi rosyjskiemu jako szpiega, i byliby mnie uwięzili, gdybym dosyć wcześnie nie był Petersburga opuścił. I tak przybyłem tutaj, *a w tem pudle skórzanem, stojącem tam na krześle, znajduje się popiersie księżnej, dzieło, które ma przynieść mi nieśmiertelną sławę!*

—Więc pokaż mi to arcydzieło, — zawołała Róża. — Umieram z ciekawości ujrzenia go!

— Nie nie, — uspokajał ją Bondi pocałunkami, — dałem sobie słowo, że nie pokażę tego nikomu, dopóki nie będę zupełnie bezpiecznym. Ani tobie, ukochana, chociaż wiem, że ci ufać mogę! Obawiam się tylko, że mnie tu napadną — przeczuwam, że szpiegowano mnie i doniesiono policyi o moim tu pobycie. Książę będzie się nieustannie starał o odebranie mi tego popiersia! Dla tego muszę je schować tak, aby go nikt nie odkrył. Daj mi jakiego mocnego drewnianego pudła, w którem schowam popiersie, bo to skórzane puzdro jest policyi aż nadto znanem. Potem musimy pudło dobrze ukryć.

— Tu w domu nic się ukryć nie może, — zawołała Róża, — ale jeżeli mnie nie zwodzisz, jeżeli mogę ufać twoim przysięgom, to wskażę ci miejsce, w którem nikt w świecie pudła nie znajdzie!

— Czy możesz ufać moim przysięgom, najdroższa? — zawołał z namiętnym wyrzutem. — Spojrzyj mi w oczy, a w nich wyczytasz gorącą miłość dla ciebie! Ach, bylebym tylko był bezpieczny! Wtedy zaraz poprowadzę cię do ołtarza.

Róża chętnie wierzyła słowom ukochanego i postanowiła mu pomódz w ukryciu drogocennego skarbu.

— Mówisz, — rzekła, — że pragniesz unikać twych

wrogów — dokąd więc chcesz się udać? W jakim kraju będziesz bezpiecznym przed ich prześladowaniem?

— W Austryi! Muszę iść do Wiednia, tam nie ma rząd rosyjski żadnej nademną potęgi!

— I zabierzesz mnie z sobą!

Bondi zamyślił się na chwilę.

— Naturalnie, — rzekł, — nie mógłbym już żyć bez ciebie, ty zawsze i wszędzie musisz być ze mną!

— Nie pożałujesz nigdy tych słów, — szepnęła Róża wzruszona. — Słuchaj więc, co ci powiem. O milę drogi ztąd leży mała karczma nadedrogą, której właściciel jest mężem mej przyjaciółki. Karczma ta zwie się „pod trzema różami". Tam ja się udam z twoim skarbem — ty załatwisz tymczasem wszelkie interesa w Warszawie, i przyjedziesz za mną. Potem razem już pojedziemy do Wiednia.

— Przyrzekniesz mi że nie otworzysz pudła z popiersiem?

— Przysięgam ci, a zresztą owiąż je i zapieczętuj sznury twoją pieczątką! Mam też tu właśnie małą, ale mocną drewnianą skrzynkę, w którą się biust dobrze zmieści. Przyniosę ci ją i wyjdę — zapakuj sam twój skarb. Ja się tymczasem przygotuję do drogi i jutro rano pojadę natychmiast do karczmy „pod trzema różami!

Bondi rozważał długo — i uznał projekt Róży za doskonały.

Przeczuwał on, że najlepiej opuścić Warszawę o ile możności najprędzej, bo nie był tu pewnym ani życia ani wolności.

Poznał też teraz że popełnił błąd, udając się do Marcillosa, ten bowiem wytrawny kupiec będzie chciał sam zabrać miljony. W Wiedniu łatwiej może uda mu się sprzedać koronę, to jest pojedyńcze brylanty. Nauczony smutnem doświadczeniem nie chciał już oddawać całej korony na sprzedaż, tylko wyłamywać jeden kamień po drugim i sprzedawać je u rozmaitych złotników.

— A więc do Wiednia! — zawołał.

Teraz jednak trzeba się było wystarać o karetę i konie i obmyśleć, w jaki sposób zabrać niepostrzeżenie pudło z karczmy i przewieść je do Wiednia.

I w tem miała mu być pomocna kobieta, która go tak gorąco pokochała!

Bondi zgodził się na wszelkie propozycje Róży. Gdy przyniosła mocną drewnianą skrzynkę, wyszła zaraz z pokoju, a on, uważny i przezorny, zakrył najpierw dziurkę od klucza chustką i potem dopiero przełożył koronę z skórzanego puzdra do skrzynki, zasypując ją trocinami. Potem przybił nieco mocnemi gwoździami, owiązał kilkakrotnie sznurem i przyłożył pieczęcie.

I teraz dopiero odetchnął! Teraz nikt nie wpadnie na myśl, jaki się tu skarb znajduje, byleby tylko Róża nie była zanadto ciekawą i zazdrosną!

Ale ona kochała go, a kobieta, która kocha, nie postępuje wbrew życzeniom tego, którego żoną ma zostać! Zawołał ją zaraz do pokoju, pokazał skrzynkę i zapytał uroczyście, czy trwa zawsze jeszcze w zamiarze wyjechania z nim do Wiednia i ratowania go przed prześladowaniem jego wrogów.

Róża rzuciła mu się w objęcia i przysięgła, że kocha go, i że go nigdy nie opuści.

Nagle dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi.

— Boże! — zawołała Róża, — któż o tej porze przychodzi do nas!

I schwyciwszy lampę, pobiegła do sieni.

Przed drzwiami stał żebrak, stary, zgarbiony, o białych jak śnieg włosach i długiej białej brodzie.

— Zmiłuj się pani, — rzekł cichym, drżącym głosem, — od dwóch dni nic w ustach nie miałem! Daj mi pani kawałek chleba i trochę wody, Bóg ci to stokrotnie wynagrodzi!

Róża litościwe i dobre miała serce, a szczęśliwa dziś nad wyraz z pozyskania serca wielkiego artysty, nie mogła odmówić prośbie nieszczęśliwego!

I nie namyślając się długo, zawołała:

— Pójdźcie ze mną do pokoju i zjedźcie resztki kolacyi!

Bondi zdumiał na widok wchodzącego żebraka i spojrzał pytająco na Różę.

— Jest to biedak głodny i spragniony, — rzekła wdówka, — dam mu to, co pozostało na stole! Usiądźcie tu przy piecu i jedźcie. Potem dostaniecie też kieliszek wina na rozgrzanie.

Bondi siedział w rogu kanapy i obserwował nieznacznie żebraka.

Człowiek ten wydawał mu się podejrzanym.

I nagle spostrzegł, że z jednej strony wysuwa się z pod białych włosów brody, kilka czarnych...

Więc broda była fałszywą!

— Jest to szpieg Ifraima Marcillosa, — pomyślał, — Ale czekaj! Nie będziesz ty mnie po raz drugi szpiegować. Oduczę cię tego!

Gdy żebrak zjadł, podniósł się Bondi i rzekł łaskawie:

— Trzeba staremu dać wódki, będzie mu lepiej smakować, niż wino. Mam u siebie jeszcze trochę w butelce, pójdę więc po nią. Może mi poświecisz?

I wyszedł z pokoju za nim biegła Róża z świecą.

— Co to znaczy? — zapytała .— Czemu tak dziwnie patrzałeś na tego żebraka?

— To nie żebrak, — szepnął Bondi, — to szpieg mego nieprzyjaciela!

— Nie może być! On nie śmiałby wnijść do mego domu....

— Wie przecie, że ja tu jestem! Wysłano go tu w celu wybadania... I on zaszkodzi mi, jeżeli żywy dom ten opuści... Będę zgubionym!

— Na miłość Bozką, przecież nie możemy go zamordować!

— Ale któż o tem mówi! Trzeba mu tylko przeszkodzić w wyjściu z tego domu... ach, gdybym miał jaki środek usypiający, byłoby to wybornie!

— Środek na sen? W takim razie jesteśmy uratowani! Cierpiałam przeszłego roku na bezsenność i lekarz dał mi jakieś lekarstwo usypiające — z którego co wieczór brałam pięć kropli. Połowę tego mam jeszcze!

— Daj — prędko — o, ty nie wiesz, jaką mi tem przysługę wyświadczasz!

Róża pobiegła do szafki w kuchni i wyjęła niewielką buteleczkę, napełnioną do połowy jasnym jakimś płynem, Bondi porwał ją i odkorkował.

— Wyborne! — rzekł. — Podaj mi teraz kieliszek wódki!

Róża wykonywała rozkazy jego jak automat. Bondi wziął kieliszek napełniony wódką i nalał z buteleczki piętnaście kropli.

— Starczy to na dwie noce i na jeden dzień, — rzekł z uśmiechem, — myślę, że będzie miał dosyć!

Podczas tej rozmowy barona i wdówki w kuchni, siedział żebrak przy piecu w saloniku i oglądał się uważnie na wszystkie strony.

Był on bardzo z siebie zadowolony, ów Jankef, był tam, gdzie być chciał i nie zamierzałby najmniej opuszczać jeszcze gościnnego domu.

Teraz weszła Róża — za nią Bondi z próżną prawie butelką od wódki.

Róża podała żebrakowi kieliszek.

— Wypijcie, — rzekła uprzejmie, — mamy tam jeszcze kilka kropli, to i te dostaniecie!

Żebrak podniósł kieliszek i rzekł z pozornem wzruszeniem:

— Niech ci to Bóg stokrotnie wynagrodzi, piękna pani!

I przybliżywszy kieliszek do ust, wypił wódkę aż do ostatniej kropli.

Ale zaledwie połknął ten ostry płyn, gdy zaczął się chwiać, zataczać — kieliszek wypadł mu z rąk, i za chwilę tem leżał żebrak nieprzytomny na ziemi. —

— Lekarstwo już skutek wywarło, — rzekł Bondi wesoło, — a teraz przekonam cię, że miałem słuszność, mówiąc, że to szpieg!

I pochyliwszy się, podniósł żebraka i położył go na kanapę. Potem zerwał mu fałszywą brodę i perukę i spojrzał z szyderczym uśmiechem na bladą twarz Jankefa.

— No, i co mówisz na to, ukochana? — zawołał. — Człowiekowi który pod inną postacią zakrada się do cudzego domu, nie można dowierzać. Musi to być albo szpieg, albo morderca! Myślę jednak, że nie zostawimy tu na miękkiej kanapie tego łotra, nie wiem tylko gdzie umieścić!

— W kuchni, w pudle od węgli, tam on się zmieści!

— Bardzo dobrze, niech tam śpi!

Bondi podniósł nieprzytomnego żyda i zaniósł go

rzeczywiście do kuchni.

Jankef nie ruszał się — czasem tylko jęknął przez sen — Bondi albowiem włożył go przemocą w zakrótkie pudło, zginając mu nielitościwie obydwa kolana.

— Będziesz ty pamiętał to łóżko, — zawołał. — Ale ciesz się, że żyjesz — szpiegów wiesza się zwykle! A teraz, — dodał, zwracając się do Róży, — udajmy się na spoczynek, jutro musisz wstać rychło. Ja wystaram się o karetę i pojedziesz natychmiast do karczmy pod „trzema różami.“

Jeszcze jeden pocałunek i uścisk ręki, i narzeczeni rozstali się, a w mieszkaniu wdowy głęboka wkrótce zapanowała cisza.

— — — — — — — — — —

Nazajutrz wyjechała pani Róża w małej, zamkniętej karetce, po czułem pożegnaniu się z ukochanym.

Czuła ona się niezmiernie szczęśliwą, że znalazła artystę, który ją tak gorąco pokochał i który wnet miał ją zaślubić. Najrozkoszniejsze marzenia przyszłości przesuwały się po jej ładnej główce, widziała się już w myślach w salonach książąt i hrabiów, i wszyscy hołdy jej składali, jako żonie genjalnego, sławnego rzeźbiarza!

W karecie znajdowała się także skrzynka, zawierająca podług zdania Róży, marmurowy biust księżnej, zaszyte zaś w staniku miała wdówka dziewięć tysięcy rubli w banknotach. Dziesiąty tysiąc dała narzeczonemu.

Kochająca kobieta nie cofnie się przed żadną ofiarą!

— Kiedy cię ujrzę w karczmie pod „trzema różami“? pytała, siadając do karety.

— Jeżeli wszystko powiedzie mi się tak, jak sobie tego życzę, — odrzekł Bondi, — to będę tam następnej nocy. Opisałaś mi drogę tak dokładnie, że trafiłbym tam z zamkniętemi oczami. Ale wezmę konia, — dodał, ściskając jej ręce, — aby prędzej być przy tobie!

— O tak, tak, nie każ mi zbyt długo czekać na siebie! A zamknij mieszkanie, gdy wyjedziesz wieczorem.

— Uczynię wszystko! Tylko przysięgnij mi raz jeszcze, że nie otworzysz skrzynki!

— Przysięgłam ci już raz i chętnie przysięgę tę powtarzam! Nie otworzę skrzynki! Teraz żegnam cię, najdroższy! Myśl o mnie i przybywaj jak najprędzej!

Kareta ruszyła, a Bondi zamyślony wrócił do swego pokoju.

— Miła i sympatyczna kobieta, — szepnął, — szkoda, że będę ją musiał porzucić. Ale ożenić się z nią przecież nie mogę! Skoro sprzedam wszystkie kamienie, będę miał tyle majątku, że księżniczka nie będzie za wysoką dla mnie partją. Bardzo mi się wszystko dobrze wiedzie, korony nie ma już w Warszawie i nikt mi jej zabrać nie może. Dziś pójdę wieczorem na bal i przekonam się, czy Efraim Marcillos jest uczciwym człowiekiem, czy też skończonym łotrem. Jeżeli chce koronę kupić, to pojadę po nią natychmiast, jeżeli nie, udam się z nią do Wiednia, ale w takim razie ukarzę żyda za to, że chciał mnie oszukać. Szpieg jego śpi mocno — sen jego będzie trwać aż do jutra rana — przynajmniej!

Potem ubrał się Bondi i wyszedł na miasto ,aby się wystarać o konia.

Był to ciepły i pogodny poranek wiosenny. —

Bondi, unikając głównych ulic, aby nie spotkać znajomych, udał się na targowisko końskie, gdzie zawsze można było kupić konia, i zdaleka już ujrzał pięknego karego rumaka, który mu się niezmiernie podobał. Obejrzał go więc dokładnie i zauważył, że szlachetne to zwierzę nie miało żadnego błędu, i że cena, jaką wieśniak za niego żądał, wcale zbyt wysoką nie była.

— Czemu chcecie sprzedać tego konia? — zapytał wieśniaka.

— Ach panie, cóż robić! — brzmiała smutna odpowiedź. — Muszę go sprzedać z biedy. Od czasu, gdy Moskale tu rządzą, nie starczy nam wnet na kawałek chleba, a podatki trzeba opłacać..... Kto nie zapłaci, temu zabierają wszystko, co ma.... Ach mój koń! Moja Błyskawica kochana! Jak ciężko mi rozstać się z tobą! Już cię nigdy nie zobaczę!

I wieśniak objął szyję konia i głośnym wybuchnął płaczem.

Bondi wypłacił mu pieniądze i kazał zaprowadzić rumaka do najbliższej stajni, prosząc właściciela tejże, aby go zatrzymał do wieczora. Po zapłaceniu rubla za owies chciał iść do domu, gdy nagle ujrzał w jednej z bud coś, co go nadzwyczaj zainteresowało.

Na targowisku bowiem znajdowały się rozmaite budy drewniane, w których sprzedawano pierniki, bułki i mleko, albo też takie, w których rozmaite pokazywano sztuki. Byli tam kuglarze, wróżbiści i akrobaci, którzy za parę groszy najdziwaczniejsze wyprawiali czary.

W jednej takiej budzie stał mężczyzna na wywyższeniu, zbitem z kilku desek i pokazywał jakieś sztuki, które zwabiły mnóstwo widzów.

Człowiek ten musiał tu przybyć z dalekich stron, bo w Warszawie nikt jeszcze czegoś podobnego nie widział. Ubranie jego, bardzo fantastyczne, zdradzało pochodzenie ze Wschodu, turban na głowie i szerokie jedwabne spodnie wskazywały Turka lub Persa.

Obok niego stało ogromne pudło, w którem leżało kilkanaście żmiji, bardzo pięknych, o świetnie zabarwionych łuskach, ale bez wątpienia niebezpiecznych i jadowitych.

— Te żmije — rzekł kuglarz łamaną polszczyzną, — mają jeszcze wszystkie zęby z pęcherzykami jadu. Ale ja ich się nie boję, bo chociażby mnie która z nich ukąsiła, to krew moja przywykła do tej trucizny, nie przyjmuje żadnego jadu. Zresztą one mnie znają i są posłuszne na każde skinienie!

To mówiąc, wziął flet i zaczął grać jakąś cichą słodką melodją.

Żmije, leżące dotąd nieruchomo w pudle, zaczęły się teraz niepokoić i podniosły głowy. Całą połową ciała poruszały się jak gdyby w takt do muzyki i potem wychodziły jedna po drugiej z pudła, czołgając się u nóg ich pana.

Publiczność była przerażoną, tu i owdzie dały się słyszeć głośne krzyki strachu.

Ale kuglarz śmiał się i grał dalej.

Żmije zbliżały się teraz coraz to więcej do niego. Jedna opasała jego nogę, druga ramie, inna wczołgała się na szyję i nie trwało długo, a kuglarz był cały pokryty temi okropnemi gadami.

Był to widok okropny.

Gdy kuglarz uznał, że publiczność dosyć się już napatrzała, zmienił melodją i grał teraz prędko, a tony te dzikie, przerażające skłoniły żmije do prędkiej ucieczki.

Jedna tylko, największa, została. Zwinięta w kłębek, leżała przez pewien czas zupełnie spokojnie, potem podniosła głowę, wyprężyła ciało i wysunęła wązki czerwony język kilka razy. Zielone jej oczy wlepione były w grającego ciągle jeszcze kuglarza.

Nagle rozległ się pomiędzy publicznością okropny okrzyk grozy....

Żmija rzuciła się na swego pana, z szybkością błyskawicy owinęła się w koło jego szyji, i ukąsiła go w twarz.

Ale on uchwycił ją śmiało, zdjął ze siebie, i śmiejąc się, położył ją do pudła.

Na twarzy jego było widać małą, zakrwawioną ranę.

— Każdy inny, — rzekł, wskazując na ranę, — musiałby umrzeć, bo wszystkie moje żmije są jadowite, ale mnie to nic nie szkodzi! Będę zdrów i będę żył, że jednak do życia potrzeba pieniędzy, przeto proszę — dajcie mi parę groszy!

I zdjąwszy turban trzymał go odwrócony, a ze wszystkich stron posypały się drobne pieniądze.

Nagle wrzucono do turbana dukata.

Kuglarz zdumiał, obejrzał się, i ujrzał przed sobą wysokiego, wytwornie ubranego mężczyznę.

Był to Bondi!

— Przyjacielu, — szepnął, — chciałbym z wami kilka słów pomówić, ale bez świadków. Tam jest karczma — — będę na was czekał. Możecie wnet przyjść?

— Za kilka minut, — odrzekł poskramiacz wężów.

Bondi udał się do karczmy, kazał sobie otworzyć mały pokoik, przeznaczony dla najlepszych gości, i zamówił przekąskę oraz butelkę wina.

Zaraz potem przyszedł kuglarz.

— Ach, wielmożny pan już tu jest, — zawołał z niskim ukłonem. — Chciałeś pan mówić ze mną, otóż jestem — a jeżeli mam panu w czem usłużyć, to chętnie to uczynię za tak hojny datek!

— Otrzymasz jeszcze więcej złota odemnie, — odrzekł Bondi, — ale sprzedaj mi pięć żmiji.

— Pięć? Tego nie mogę! Żmije są jedynem mojem utrzymaniem.....

(Ciąg dalszy nastąpi.)